



ALEKSANDER SOWA

GÓRA BOGÓW
ŚMIERCI

JEŚLI WIDAĆ ŚWIATŁO, MUSI ISTNIEĆ CIEŃ

GÓRA BOGÓW ŚMIERCI

Aleksander Sowa



© Copyright by Aleksander Sowa 2015

Okładka: Aleksander Sowa & Sabina Sagan

Zdjęcia: Aleksander Sowa

Konsultacja niemieckojęzyczna: Sabina Sagan

Redakcja i korekta: eKorekta24.pl

Darmowy fragment e-booka.

--

Aleksander Sowa | Self-Publishing

www.wydawca.net

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione.

Opole, marzec 2015 r.

1.

Nagle coś się wylania ze śnieżycy. Samochód hamuje, lecz nic to nie daje: słychać głuche uderzenie. „Boże – myśli kierowca, wyskakując z wozu – zabiłem kogoś!”.

– Jak się pani czuje? Jest pani ranna? – przekrzykuje zadymkę. – Wezwać pomoc? Pogotowie? – krzyczy do wstającej staruszki.

– A cholera by cię wzięła, wariacie jeden!

– Może zadzwonić po karetkę?

– Diabli z karetką! Nie trza jeździć jak wariat! Mówię, że nic mi nie jest!

– A pani co, do cholery? – wrzeszczy kierowca. – Żeby w taką śnieżycę środkiem drogi łazić! Życie pani niemiłe?

Powietrze jest lodowate, a na linii energetycznej gwizdże wiatr. Kobieta rzuca Jakubowi wściekle spojrzenie. Jest chuda, niziutka, twarz opatulila chustką, zawiązaną pod brodą. On wsiada do samochodu, trzaskając drzwiami. Wyjmuje spod koszuli srebrny krzyż na łańcuszku.

– Dzięki ci, Panie – szepcze, całując go. – Dzięki.

Staruszka nie rusza się z miejsca. Patrzy błyszczącymi z zaciekawienia oczami. Uśmiecha się, odsłaniając bezzębne dziąsła. Jakub opuszcza szybę. Do wnętrza wdziera się chłód.

– Podrzucić panią?

– A gdzież pan tak pędzi?

– Do hotelu Korona! Wie pani, gdzie to?

– A co bym nie wiedziała? Tutejsza jestem. Droge pan zmylił. Trza było zjechać, tutaj droga już na Złoty Stok.

Kobieta gramoli się do samochodu. W jej wzroku jest coś niezwykłego. Zmarszczki wokół jej ust rozchodzą się promieniście. Twarz zniszczona, lecz oczy błyszczą jak ognie. Śnieżycy chyba się wzmaga, wiatr zawodzi głośnieją.

– Chodnika pani nie ma!?

– Tu musi pan skrócić.

– Może do lekarza zawiozę? Obejrzy panią.

– Nie trza. Jeszcze trochę i mnie też przyjdzie się żegnać z życiem.

– Tego pani wiedzieć nie może.

– Mogę. Wiem więcej, niż ci się zdaje, synku.

Jakub słyszy przez śnieżycę wycie syreny. Rozgląda się i jest prawie pewien, że na drodze, z której zjechał zgodnie z sugestią starej, przed chwilą widział niebieskie światła.

– To nie znaczy, że trzeba śmierci w szpony leżć – mówi.

– Widziałam ją, jak każdą inną normalną rzecz. Nie boję się.

Jakub spogląda na starą, ale jej oczy są bez wyrazu, puste, jak gdyby nie należały do żywego człowieka. Kundel na jej kolanach szczyrzy kły. Mężczyzna wyteżę wzrok, lecz otacza ich tylko ciemność. Widzi jedynie śnieg, wirujący w szaleńczym pędzie. „W taką pogodę wszystko się może przytrafić” – myśli.

– Daleko jeszcze?

– Ano, dobrze pan jedzie. Tutaj mnie pan wysadzi. Prawie jesteśmy – kobieta wskazuje budynek. – Tam na rogu, widzi?

Jakub odwraca wzrok. Staruszka wysiada. W śnieżycy majaczy zarys ponemieckiego budynku. Nad wejściem miga nadpalony czerwony neon. Nieznajoma nachyla się do okna. Pies warczy głośno.

– Wiesz, że jeszcze możesz zawrócić?

– Na pewno nic pani nie jest?

– Więc jedzie pan...? – stara kiwa głową z dziwnym wyrazem twarzy. – To niech pan jedzie. Tamten też jechał. No ale pan może wróci – dodaje, machając ręką, i niemal natychmiast znika.

„Jakaś wariatka” – myśli Jakub, parkując przed hotelem. Gdy wysiada, czuje, jak wiatr słabnie. Ogarnia go chłód. Postawiwszy kolnierz, mężczyzna spogląda na lewy nadgarstek.

2.

Kiedy zegar odmierza ostatni z siedmiu dzwonek, dziewczyna przed lustrem z niezadowoleniem zauważa kropkę powyżej lewej, starannie wyregulowanej brwi. Otwierają się drzwi. Wraz z przybyszem wdziera się zawodzenie wiatru. Iza wita gościa.

– Strasznie wieje. A wie pani, że dopiero tutaj się to zaczyna? – zagaduje on, odstawiając bagaż pod ścianę. – Za Nysą jeszcze piękna pogoda. Jak na kwiecień, rzecz jasna.

– Normalne. Tutaj zawsze tak jest, proszę pana.

Pogoda jej nie obchodzi. „Cholera – myśli – musiał przyjechać akurat teraz”. Będzie musiała z nim gadać, aż Paula wróci z wymienionym tamponem.

– To wszystko przez góry, no nie?

Jakub nie mógł wybrać daty wizyty, lecz miał nadzieję na łaskawszą pogodę. Kto by się spodziewał śnieżycy, jeśli od dwóch tygodni dogrzewało słońce, śpiewały ptaki i zewsząd czuć było wiosnę?

– Hm – chrząka, rozglądając się. – Miałem rezerwację na dzisiaj.

– Domyśliłam się, kim pan jest.

Szczupły, wysoki, nawet przystojny. Okulary w srebrnych oprawkach odrobinę go postarzają, lecz są świetnie dobrane. Wygląda na trzydziestolatka. Na palcu nie ma obrączki.

– Tak?

Słyszą skrzypnięcie zawiasów. Spoglądają w stronę otwierających się drzwi, lecz żarówka nagle gaśnie.

– Czekamy na pana – dobiega ich w ciemności.

W drzwiach pojawia się twarz drugiej dziewczyny. Jakub zwraca uwagę na burzę ciemnych kręconych włosów, oświetlonych nieco upiornym światłem świecy trzymanej w dłoni.

– O, dobrze, że jesteś – wtrąca Iza, odchodząc od lustra. – Ja jestem tutaj – rzuca, zakładając szalik – w zastępstwie za koleżankę.

– Właśnie – dodaje brunetka. – Musiałam wyjść.

Wiatr za oknami jeszcze przybiera na sile. Słyszą, jak preraźliwie wyje i gwiżdże. Gdzieś ciągle skrzypi jakieś żelastwo. Zapalające się nagle światło oślepia zebranych, bo oczy już przyzwyczały się do ciemności. Chwilę później żarówka przygasa, a kiedy podnoszą wzrok ku lampie, ta znowu zaczyna świecić.

3.

Kilkadziesiąt lat wcześniej, pewnej sierpniowej nocy, pięćset kilometrów dalej ostatnie krople deszczu dosięgają ziemi. Niebo jaśnieje, a powietrze staje się świeże i lekkie – jakby przeproszało za to, co zrobiło, i zastanawiało się, czy to już koniec opadów, czy tylko zawieszenie broni. Tymczasem maszyna przechyla się na lewe skrzydło. Pilot wyrównuje krótkim ruchem. Skupia się na utrzymaniu prędkości i kursu. Sterownica drży pod palcami, kabinę spowija oświetlenie bojowe.

– Jest kurs zrzutu! – słyszy lotnik przez radio. – Cel za minutę!

B-24 Sił Powietrznych Armii USA o numerze 191 leci zaznaczyć cel. Każdy z czterech silników pracuje równo, niczym dobrze naoliwiona maszyna do szycia. Widoczność jest doskonała, pilota dziwi, że Niemcy zaczynają stawiać zasłonę dymną dopiero teraz, kiedy amerykańskie samoloty są już nad celem. Obrona artyleryjska milczy. Brak nocnych myśliwców. Ani jeden reflektor nie maca nieba. „To dobrze” – myśli lotnik. Na srebrnym kadłubie odbija się księżyc.

– Pół minuty! – mówi dowódca. – Otworzyć drzwi bombowe.

– Luki otwarte – trzeszczy interkom.

„Sześćset maszyn” – myśli pilot. Ludzie w dole, przyzwyczajeni do bombowców latających tym szlakiem na Berlin, nie zwracają uwagi na wyjące syreny. Za chwilę będzie tu piekło.

– Dziesięć sekund! – brzmi głos dowódcy. – Dziewięć, osiem, siedem... – liczy, nie odrywając oczu od przesuwającej się pod nimi ziemi.

Pilot zaciska palce na sterownicy. Strzelcy zagryzają usta.

– Teraz! Wszystkie poszły!

Ale nie bomby: zrzucili markery, które teraz rozbłyskują w dole kolorowymi światłami. To znak dla pozostałych.

– Wszystkie weszły – słyszy pilot po chwili. – Kieruj się na kurs powrotny.

Liberator kładzie się na skrzydło, błyskawicznie reaguje na stery, niczym myśliwiec. Przed nimi drugi etap.

– Jezu! – odzywa się tylny strzelec.

– Co jest?

– Panie poruczniku! – odpowiada. – Wyspa zaraz zapadnie się w morze!

– Co się dzieje?

– Aż faluje pod eksplozjami. Zaraz rozsypie się na kawałki i zniknie z powierzchni.

– To dobrze. Mniej naszych zginie.

Sądzą, że bombardowali „zakłady przemysłowe wytwarzające aparaturę dla obrony przeciwlotniczej”, lecz się mylą. To najnowocześniejszy tajny instytut badawczy. Na decyzję o jego budowie wpłynęła lokalizacja: bliskość morza pozwala na dyskretne próby. Są tam lotnisko, bocznica kolejowa, fabryka nadtlenu wodoru, służącego jako utleniacz paliwa raketowego, i elektrownia węglowa niezależna od krajowego systemu energetycznego.

Hitler, początkowo niezainteresowany badaniami prowadzonymi w tym miejscu, zmienia zdanie po klęsce Rommla w Afryce i Paulusa na wschodzie. Gdy szala zwycięstwa zaczyna się przechylać na stronę aliantów, te eksperymenty stają się priorytetem. Wódz III Rzeszy zaczyna pokładać w nowej broni nadzieję, której będzie się trzymał do końca kwietnia czterdziestego piątego roku. Wierzy, że cudowna broń zdoła przechylić szalę na stronę Wehrmachtu.

Tej nocy na Peenemünde spadnie dwa tysiące bomb. Rankiem, kiedy dopalą się zgliszcza, wszędzie będą leżały trupy i fragmenty ciał. Wielu odniesie ciężkie rany. Zginie ponad siedmiuset ludzi. Najważniejsi, w tym pierwszy człowiek projektu – doktor Wernher von Braun, przeżyją.

4.

Po śniegu, deszczu i wietrze pozostaje wspomnienie. Znika natychmiast, kiedy Jakub, podchodząc do okna, dostrzega na horyzoncie pas górski. Staje nagi

przed lustrem. Sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, siedemdziesiąt osiem kilogramów, szczupła budowa ciała. Bez tłuszczu, dzięki wegetariańskiej diecie. Oczy zielone, włosy jasne, odrobinę niesforne. Szeroka blizna na prawej piersi, jeszcze z dzieciństwa.

Mężczyzna się goli, po czym zakłada na szyję krzyżyk na srebrnym łańcuszku. „Już późno” – przemyka mu przez głowę, gdy stawia kroki na schodach.

– Widzę, że nie jest pan rannym ptaszkiem?

– Ostatni raz spałem tak chyba w kołysce – odpowiada Paulinie. – Jakub jestem.

Dziewczyna unosi brwi. Po chwili uśmiecha się i przytakuje ruchem głowy.

– Tramwajów nie ma, samochody nie trąbią... A właśnie: zostawiłem swój na ulicy. Macie tu parking? Najlepiej strzeżony.

– Pana opel jest bezpieczny – odzywa się nieznajomy.

Siedzi na kanapie, w mundurze gliny. Przez chwilę milczą, Jakub czuje, jak ogarnia go dziwne, nieprzyjemne uczucie.

– Znam tu każdego cwaniaczka – mówi policjant. – Większych zbirów pan nie uświadczy. –

Takie same oczy i czarne, choć przyprószone siwizną włosy zdradzają podobieństwo do Pauli. Mężczyzna w wyprasowanej koszuli ma wąsy, czarne jak krucze pióra. – Wszyscy w mieście jeszcze dzisiaj będą wiedzieli, żeby tego auta nie tykać.

– To mój tata – informuje dziewczyna.

– A ja jestem mamą Pauliny – slyszą mocny głos zza ścianki z kluczami. – Już idę.

Glina unosi wzrok ku sufitowi. Kobieta, która właśnie do nich podchodzi, zaskakuje pięknym porcelanowym półmiskiem pełnym kawalków sernika.

– Miło mi poznać – gość schyla głowę. – Jakub Wróblewski.

– Modrak Helena.

Wiek: niewątpliwe czterdzieści plus. Co ciekawe, brak podobieństwa do córki. Może poza wzrostem i głosem, lecz nie tuszą, bo Helena to baba w każdym calu, a raczej kilogramie.

– Henryk Modrak – teraz to glina podaje prawicę. – Podkomisarz. Podobno zamierza pan pisać o naszym miasteczku? – pyta, badawczo przyglądając się Jakubowi. Ścisła jego dłoń niczym w imadle, ale jest niewielkiego wzrostu. W zestawieniu z żoną sprawia wrażenie drobnego człowieczka. – Zauważył pan coś dziwnego w nocy?

– Henryk! – huczy kobieta. – To nie komisariat! Pan Jakub – dodaje z uśmiechem – sam ci powie o książce, jak zechce.

– Niczego nie zauważyłem. A książka to nie tajemnica. Zresztą to wcale nie książka.

– Proszę się poczęstować, sama upiekłam. Nie będzie pan przecież mówił z pustym żołądkiem.

– Bardzo dziękuję. Z chęcią, bo jestem głodny jak wilk. A właśnie: czy jest tu lokal, gdzie mógłbym się żywić? Bo...

- Pokażę ci – dziewczyna nie pozwala dokończyć.
- Opowiesz mi o tej książce.

Jakub spogląda na pozostałe porcje sernika. Nagle przerywa jedzenie: wzór na talerzu, widoczny w miejscu odsłoniętym przez rozplywający się w ustach kawałek ciasta, jest zaskakująco znajomy.

– Czyli mówi pan, że niczego nie widział ani nie słyszał? W nocy spłonęła stodoła w sąsiedniej wsi. Miałem nadzieję, że coś pan zauważył – nie daje za wygraną Modrak.

5.

Kiedy tamci, w hotelu są już po śniadaniu, Paulina z Jakubem schodzą do rynku. Ulica, opasająca starówkę nierównym pierścieniem, stromo opada w dół. Słońce przygrzewa, po śniegu zostały kałuże i błoto.

– Możesz zacząć od książki o tej dziurze – mówi dziewczyna.

- Dlaczego dziurze? Zresztą: nie będzie o niej.
- Jak to?
- Bo to nie książka.
- Więc co?
- Praca naukowa.
- Zwariowałeś? Tutaj? O czym?
- O legendach, podaniach i tego typu historiach funkcjonujących w świadomości mieszkańców Sudeków – kłamie jak z nut.
- Do czego ci to potrzebne?

Jakub nie chce mówić prawdy. Nie może. Poza tym sam nie jest jej pewny.

– Chciałbym awansować – zmyśla. – Takie prace jak ta są mi potrzebne. No i w pewnym sensie to moje hobby.

– Pisanie?

– Poznawanie nowych miejsc. Pisanie to efekt uboczny.

– Ja też bardzo to lubię. Tylko nie mam czego poznawać.

– Zawsze jest coś nowego. Choćby historie odwiedzanych miejsc.

– Z historii też byłam bardzo dobra. Już w podstawówce. W liceum też.

– Dlaczego nie poszłaś na studia?

– Zwariowałaś? Na studia? – prycha dziewczyna. – Nie dziw się, że mówię „dziura”.

– Niby dlaczego?

– Bo studia są dla facetów.

– Co masz na myśli?

– Ktoś musi się zająć hotelem, kiedy rodzice się zestarzeją. A ja mam znaleźć męża wśród miejscowych pijaczków i zmieniać pieluchy.

– Przecież pieluchy nie pobrudzą dyplomu.

W kwietniowym słońcu oczy Pauli wydają się jeszcze ciemniejsze. „Jest w nich coś pociągającego” – myśli mężczyzna. Kiedy jej kręcone włosy rozwiewa wiatr, budzą się w nim dawno uśpione pragnienia. Towarzyszy im jakiś niepokój.

– Rodzice wiedzą, że jeśli wyjadę, to już nie wrócę.

– Dlaczego?

– Mówiłam ci: lubię historię. Wygrywałam konkursy o tym miejscu. Ono nie ma przyszłości. To zawsze była dziura. I tak zostanie, bo brak tu perspektyw. Kiedyś było lepiej, ale dziś nie jest dobrze. Za kilka lat zostaną tylko starcy.

– A turystyka?

– Zwariowałaś? To hasło dla burmistrza i radnych. Nic się nie zmienia. Po co ludzie mieliby do nas przejeżdżać? To nie Karpacz.

– Ciągnie cię w świat?

– Jak wszystkich. Dwa lata temu zdałam maturę. Powinnam być w Krakowie, Gdańsku albo Wrocławiu. Nie tutaj.

Jakub przystaje. W pewnym sensie ona ma rację, choć różnią ich punkty widzenia. Przybysz zerka na biały dom w pruskim stylu, tak inny od kamiennych murów.

– To Dom Kata – wyjaśnia Paula.

– Uhm.

– Mówiłeś, że jesteś nauczycielem. Czego uczysz?

Jakub nie chce wiele mówić o sobie. Rodzi to niebezpieczeństwo, że będzie musiał kłamać, a woli tego uniknąć.

– Mówiłeś legendach... To może historii?

– Blisko – uśmiecha się do niej. – Prawie zgadłaś. Jestem historykiem.

– Ale?

- Akademickim. Uczę studentów.
- Mogłabym być twoją studentką?
- Czemu nie.
- Kurczę! Ale jaja – ta informacja zrobiła na niej wrażenie. – Muszę powiedzieć Izie! Czyli musisz mieć tytuł naukowy.
- Jestem doktorem.
- Zwykłym czy habilitowanym?
- Zwykłym, dopiero planuję habilitację. Po to ta praca o legendach. Zadajesz dużo pytań, wiesz? A to ja przyjechałem, by pytać.
- Przyzwyczajaj się. Zresztą: wszystkiego o tych okolicach możesz się dowiedzieć z książek.
- To, co jest w książkach, już wiem. Szukam tego, co wiedzą ludzie. A potem wykluczę przekłamania.
- Jak?
- W każdej legendzie tkwi ziarno prawdy, ale te opowieści przekazywano przecież z pokolenia na pokolenie. Ktoś coś dodał, zmyślił, ubarwił. Z czasem powstały niesamowite historie.
- Niesamowite historie? Brzmi jak dialog z horroru – śmieje się Paula. – Ale wiesz co? To dobry pomysł. Bo praca naukowa kojarzy się z zadaniami, wzorami, datami. A tu taka niespodzianka. Mile.
- Uhm... Legendy zwykle dają się tak wytłumaczyć, że nabierają sensu.
- To w ogóle możliwe?
- Zaraz ci udowodnię.
- A to ciekawe.

– Weźmy twój Dom Kata. Co o nim wiesz?

– Mieszkał w nim kat – dziewczyna wzrusza ramionami.

– To nie jest pewne.

– To skąd nazwa?

– Budynek jest zbudowany inaczej niż pozostałe.

Wyróżnia się.

– No to co?

– Poczekaj. Po drugiej stronie ulicy – Jakub wskazuje ręką – jest żydowski cmentarz, tak?

– A co on ma wspólnego z katem?

– Zaraz zobaczysz. Dalej jest kościół, prawda?

– Uhm.

– Komuś mogło się kiedyś wydawać, że to dość niesamowite miejsce, no nie?

– Mogło – przyznaje Paula. – Choć to o niczym nie świadczy.

– Ale byłoby to dobre miejsce dla kogoś takiego jak kat?

– Pewnie tak.

– Owszem, tym bardziej że tutaj – Jakub celuje palcem w bramę kamiennych murów obronnych – wieszano.

– Wieszano? Jak?

– Normalnie, na szubienicy.

– No ale za co?

– Za szyję. Tyle że wcześniej, niż powstał Dom Kata. Poza tym kat tu nie pracował. Co jednak ważne, mieszkaniec tego domu sprzedawał *Armensünderfett*.

– Co?

– Smalec ze skazańców.

– Makabryczne.

– No. A teraz posłuchaj: dom wygląda dziwnie, stoi obok miejsca, gdzie wieszano ludzi, cmentarza i kościół. Mieszkał tu człowiek handlujący rzeczami skazanych. Sprzedawał kawalki ubrań ofiar jako amulety i ludzki tłuszcz. A kat z Otmuchowa był jego szwagrem. Już wiesz, skąd nazwa „Dom Kata”?

– Myślisz, że tak było naprawdę?

– To jedna z hipotez. Kat oprócz zabijania miał inne obowiązki: zajmował się przesłuchiwaniami i torturami, wymierzał kary, zwoził z miasta padlinę. Jako jeden z nielicznych mieszczan odebrał wykształcenie. Musiał się przecież znać na anatomii, prawda?

– Fakt.

– Więc nastawiał złamania. Z czasem przyszło mu wylapywać bezpańskie psy i koty. Ale wtedy, nawiasem mówiąc – Jakub mruży oko – prowadził też miejski dom uciech.

– Rozumiem – potakuje dziewczyna i się rumieni. – A właśnie, przepraszam za ojca.

– O co mu chodziło?

– Nienawidzę go – Paula przewraca oczami. – To glina! Nawet w domu.

– Chcesz powiedzieć, że podejrzewa mnie o podpalenie?

– Zwariowałeś? Skąd ta myśl?

– Nie wiem – Jakub wzrusza ramionami. – Tak to zrozumiałem.

– Och, daj spokój. On zawsze pyta. Nie byłby sobą, gdyby tego nie robił. To choroba zawodowa – dziewczyna kreśli palcem kółeczko nad czołem i wymownie pochyla głowę. – Nie przejmuj się.

Wchodzą na rynek, przystają na wybrukowanym chodniku. Na zachodzie widać wąską ulicę z kamieniczkami z lewej i rudera z prawej. W tle jasna wieża Bramy Kłodzkiej. Mężczyzna wpatruje się w majaczący daleko, jak tło na widzianym wcześniej obrazie, ciemnozielony łańcuch górski. „Z hotelowego okna widziałem to inaczej” – myśli, nie wiedząc jeszcze, że góry mają też mroczną stronę i są pełne makabrycznych sekretów.

– A nie byłoby ci żal tych widoków? – zagaduje.

– W życiu nie ma nic za darmo, prawda?

Jakub spogląda na dziewczynę. Po chwili odwraca wzrok i widzi w oknie staruszkę ubraną na białą, która – obierając nożykiem jabłko – uważnie mu się przygląda. Do tego nie daje mu spokoju sprawa talerza. W mężczyźnie budzi się bliżej nieokreślony, tajemniczy niepokój.

6.

Czerwcowy dzień jest ciepły, lecz nie upalny. Wiatr od gór przyjemnie chłodzi twarz, kiedy wspinają się z plecakami. Dobrze się przygotowali: mają deskę, w

której rozgrzanym gwoździem wypalili alfabet i cyfry, od zera do dziewięciu.

– Tu, w rogach – mówi Genek – jest jeszcze miejsce, nie? A może byśmy wypalili jeszcze dwa słowa, co?

Cała trójka spogląda z wyczekiwaniem na Kazika, on zaś milczy. Zainteresował się tym pomysłem za sprawą niemieckiej książki. Zwróciła jego uwagę, gdy myszkował na strychu. Na czarnej skórzanej oprawie miała wyciśnięty złoty krzyżyk.

– Z prawej wypalisz „tak” – instruuje – a z lewej „nie”. Wypal też „być może” na dole i „nie mogę odpowiedzieć” na górze.

Gdy dwa tygodnie wcześniej dostrzegł tę datę, zapłonęły mu oczy. Tysiąc osiemset sześćdziesiąt jeden. „Prawie stuletnia książka – pomyślał – to dopiero coś! Niech tylko pokażę chłopakom!”. A potem kumple zapalili się do jego pomysłu. Sceptyczny pozostał Władeczek. Ale on, najmłodszy z wrocławskiego podwórka, a do tego o głowę niższy od reszty, wołał się nie odzywać.

Docierają na górę przed zmierzchem. Mają namiot i świece. Gdy niebo przebarwia się na purpurowo, obozowisko mają gotowe.

– Będzie wiało dziś w nocy – zapowiada Franek.

– Bredzisz. Lepiej pomóż, bo może być chłodno – rzuca Kazik, łamiąc gałęzie.

Władeczek spogląda na kijek wbity w świeżą ziemię i wzrusza ramionami. „Niech będzie” – myśli, zabiera-

jąc się do układania kamiennego kręgu z paleniskiem w środku.

– A tutaj go wywołamy – mówi do Franka.

– Czemu chcesz tak daleko od ognia, i to za kamieniami?

– Nie będzie nas gryzł dym, a jasno i tak będzie – Kazik najwyraźniej na wszystko ma odpowiedź. – Za kamieniami nie będzie wiało. Nie zdmuchnie nam lampy.

Dokładnie to zaplanował, ale też okłamał przyjaciół.

Przez jego grzech dwaj z nich przed chwilą ostatni raz patrzyli na słońce. Tymczasem ognisko, rozpalone przez najmłodszego, płonie, trzaskając szczapkami pełnymi żywicy.

– Uuu! – niesie się po dolinach. – Uuu! – coś złowieszco dudni obok.

– Co to? – Władeczek się kuli. – Słyszeliście?

– No pewnie. To tylko sowa – uspokaja Kazik. – Boisz się, durniu, zwykłego ptaka?

– Nie takiego zwykłego. Dziadek opowiadał, że sowy czują śmierć.

– To tylko ptaki. Puknij się w łeb, głupku.

Tablicę ouija układają na stosie płaskich kamieni, wychodzi z tego całkiem udany stolik. Franio chwali się talerzykiem z wyszczerbioną krawędzią, zwędnionym ze stolówki.

– Uuuu! – wyje puszczyk siedzący przy pniu świerka. – Uuuu!

Chłopcom po kręgosłupach przebiega dreszcz. Ptak wypatruje ciem wokół ogniska, oni zaś myślą, że są gotowi. Ale na to, co wkrótce ich spotka, nie sposób się przygotować.

Kazik dorzuca gałęzi do ognia. Wolalby, aby ogień się palił, kiedy skończą. Tym bardziej że żaden z nich nie ma pojęcia, jak długo to potrwa. Są zdenerwowani, lecz tego nie okazują. Cholerny puszczyk ciągle rozdziera dziób.

– No, chłopaki – rzuca Kazik. – Już.

– Północ minęła?

– Minęła – pokazuje zegarek. – Siedem minut temu. Możemy zaczynać.

– Sekundnik ci nie chodzi – zauważa jeden z kumpli nie bez satysfakcji, bo chłopak zwykł przy każdej okazji chwalić się prezentem od bogatego ojca. – Może nie nakręciłeś?

– O, cholera, rzeczywiście. Nieważne. Wskazuje siedem po, czyli jest już jutro.

Odmawiają na klęczkach modlitwę. Kilkanaście kroków za nimi ognisko trzeszczy, trawiąc drewno. Rozpalają lampę i siadają. Ciepły blask oświetla ich twarze. Palce opierają na brzegu talerzyka, stopy na ziemi.

– My, zebrani tutaj – zaczyna Kazik – przywołujemy ducha.

Usta pozostałych wykrzywają się w uśmiechu, ale poważnieją pod karcącym spojrzeniem mistrza cere-

monii. Przestrzegł ich wcześniej: w książce wyraźnie napisano, że należy traktować tę sprawę poważnie.

– My, zebrani tutaj, przywołujemy ducha. Duchu – szepcze Kazik – jeśli jesteś w pobliżu, przybądź.

„Ciekawe, cholerny ptak ucihl. Może odleciał do swoich spraw?” – zastanawia się Władeczek. Otacza ich cisza nocnego lasu, słychać tylko żerujące zwierzęta. Świerkowe gałązki się nie poruszają, w dali słabo migoczą światła rozrzuconych z rzadka wsi i miasteczek.

– Duchu! Wzywamy cię.

Chłopak na chwilę zawiesza głos. Patrzą na siebie. Krąg światła lampy migocze na ich jasnych twarzach. Widzą, że każdy ma pietra, ale nic się nie dzieje.

– Duchu! Wzywamy cię. Przybądź.

– Może źle to robimy? – Franek chyba już się zniechęcił.

– Wszystko jest tak, jak było w książce. Nie wiem, dlaczego duch nie przychodzi.

– Może trzeba go wywołać po imieniu?

– Zamknij się.

– Robi się zimno – wtrąca Władek.

I nagle wstrząsa nim dreszcz. Pozostała trójka natychmiast to czuje. Przerażeni, spoglądają na kolegę. Tymczasem wokół nich robi się jeszcze ciszej. Lampka naftowa cicho skwierczy, w ogniu pali się ćma. Czują, jak przestrzeń gęstnieje, cichnie, czeka niczym zwierzę gotowe do skoku.

7.

Patrząc na dziewczynę, Jakub myśli, że kiedyś bardzo lubił swoje zajęcie. Ta praca ma przecież dobre strony. Tyle że już na początku tak zwanej kariery stanął na rozdrożu: niewytłumaczalna duchowość przeciwko nauce. Jednego z drugim nie sposób pogodzić. Jako nauczyciel akademicki, doktor nauk społecznych, pozostawał wierny wiedzy. A jednocześnie po drugiej stronie barykady spotykał się z tym wszystkim, co tłumaczyć miał Bóg.

– Wspomniałaś o krzyżu? – spogląda Pauli w oczy.

– Co miałaś na myśli?

– A jesteś wierzący?

Mężczyzna się uśmiecha. Pytanie retoryczne... Dziewczyna ma prawo pytać, choć dawno go nie pytano o coś równie oczywistego. Tak, wierzy, w Kościół na pewno, ale czy w Boga?

– Owszem. Nie wyobrażam sobie życia bez wiary – odpowiada. – A ty?

– Wierzę – mówi Paulina. – Nie jestem szczególnie religijna, mimo to chodzę do kościoła. W takich miejscach nie można inaczej, ja jednak wierzę dla siebie.

– Rozumiem.

– I w krzyż w Kamienicy też wierzę.

– W co? – pyta Jakub, jakby nic o tym nie wiedział.

– Myślałam, że słyszałeś: we wsi pod Paczkowem na krzyżu pojawił się krwawy napis. Sensacja na całą Polskę. Byłam tam po tym, jak go zauważono. Obok stało kilka zniczy, teraz są setki. Mówią, że to znak.

– Znak?

– No wiesz, od Boga. Objawienie, jak Fatima czy Medziugorje. Dlatego coraz więcej tam ludzi. I jeszcze ta stodoła.

– Wierzysz w to?

– Przyjrzałam się, wygląda jak krew.

Ileż razy widział podobne przypadki! Na początku chciał wierzyć. Starał się łączyć religię z nauką, ale zrozumiał, że to nie ma sensu. Przekroczywszy trzydziestkę, poddał się fali, która poniosła go na obszary, gdzie Bóg nie miał już nic do powiedzenia.

– Twój ojciec myśli, że ktoś z przyjezdnych podpalił tę szopę?

– Nie o to chodzi. W pogorzeliisku znaleziono jego teścia.

– Co?

– W pożarze zginął mój dziadek – Paula unika wzroku Jakuba. – Ojciec mamy.

– I mówisz to tak po prostu, bez emocji?

– Zwariowałeś? Pewnie, że mi smutno, ale nie utrzymywaliśmy kontaktu.

– Dlaczego?

– Nie wiem – dziewczyna wzrusza ramionami. – To zawsze był temat tabu.

– A próbowałaś o tym rozmawiać?

– No pewnie. Mama się rozplakała. Nie pytałam więcej. Dużo o tym myślałam, potem się przyzwyczaiłam. Najgorzej było podczas wigilii – wzdycha. – Myślę, że mama wstydziła się swojego ojca.

8.

Pierwszego i drugiego dnia jeździ po okolicznych wsiach. Zwiedza kościoły, ale nie zbliża się do Kamienicy, gdzie krzyż ma płakać krwawymi łzami. W Lisich Kątach znajduje czterystuletni zespół dworski z basztą, spichlerzem, gołębnikiem i kaplicą. Po czeskiej stronie ogląda zamek, potem w Gościcach i Złotym Stoku odnajduje stare strażnice WOP. Przy okazji zwiedzania sztolni w Złotym Stoku trafia na nieczynną stację kolejową. Jego zainteresowanie wzbudza fakt, że prowadzi od niej kilka bocznic w różnych kierunkach. Jak się okazuje, jedna prowadzi do kopalni arsenu, druga – do fabryki farb, a trzecia – do kamieniołomów. Co ciekawe, w miejscowej bibliotece Jakub trafia na mapkę, na której odnajduje czwartą nitkę, prowadzącą w kierunku granicy z Czechami, gdzie ślad się urywa.

– Piękne te twoje góry – stwierdza, gdy spotyka się z Paulą wieczorem.

– Czasem zastanawiam się, czy nie będzie mi ich brakować.

Stoją na Wieży Wrocławskiej, którą za dwa złote udostępniono im do zwiedzania. Oglądają panoramę krzyżujących się ulic. W dali rysują się sennie szczyty Gór Opawskich, Złotych i Bardzkich.

– Może nie będę chciała pamiętać tego, czego ty teraz nie widzisz.

– Co masz na myśli?

– Wieczorem strach wyjść, bo mogą okraść albo dać po twarzy. Nie ma pracy, a jak jest, to na czarno. Za kilkaset złotych miesięcznie.

Jakub w pewnym sensie ją rozumie. W takich miejscach życie nie jest łatwe. Nic dziwnego, że młodzi pragną wyjechać. Ale tak jest wszędzie. Młodzi z Paczkowa chcą uciec do Krakowa, krakowiaczy pragną Warszawy, a ci z Warszawy fantazjują o Paryżu, Mediolanie czy Nowym Jorku. Nowojorczykom marzenia wypełnia Europa. Aż wreszcie dociera się do miejsca, z którego nie chce się już uciekać. Nazywamy je dojrzałością.

– Będę tęsknić. Zwiedziłem całe Sudety. Myszkowałem w Twierdzy Kłodzkiej, szukałem tajnej broni Wehrmachtu w podziemiach Gór Sowich, kwatery Hitlera w Zamku Książ i skarbu na Zamku Czocho. Ściąłem nawet Czarownicę na Ślęży. I nic – wzrusza ramionami. – Jedyne, co znalazłem prawdziwego, to te góry.

– Fajnie masz – wzdycha ona. – Zazdroszczę ci.

Wiatr od gór wieje mocniej. Jakub zbliża się do dziewczyny, jej włosy muskają go w policzek. Uśmiecha się, lecz przez gorycz. Podróż tutaj przyniosła mu jej zapach. Tyle że zapach kobiety to woń, której on się obawia, a Paula zawsze będzie dla niego nieosiągalna.

– Ja tobie też, mieszkasz w ciekawej okolicy. Już kiedy jechałem tędy pierwszy raz, zwróciłem uwagę na te twoje góry.

– Moje?

– Te, tu – ruchem głowy wskazuje horyzont. – Złote. Wczoraj, idąc na rynek, spojrzałem w ich stronę. Pomyślałem, że musisz być świetną dziewczyną.

– Podrywasz mnie?

– Niestety nie mogę – uśmiecha się, rozbawiony. – Ale moją uwagę przykuła ta góra. Zapamiętałem ją. Wydała mi się niesamowita. Jest w niej coś...

– Która?

– Łatwo ją poznać, ma charakterystyczne skały. Przypominają...

– Twarz? – w jej głosie chyba słyhać napięcie.

– Tobie też?

– Każdy ją widzi.

– Wybierzmy się tam! Pójdiesz ze mną?

Uśmiech gaśnie na jej wilgotnych ustach. Jakub natchmiast się orientuje, że powiedział coś niestosownego.

– Lepiej nie. To przeklęte miejsce.

– Przeklęte? – śmieje się on. – A niby przez kogo?

– W tym nie ma nic śmiesznego. Tam straszy.

– Straszy? A nawet jeśli, to mam świetny temat. Z drugiej strony ciągle mnie zaskakujesz. Dorosła, mądra i do tego piękna dziewczyna, a w bajki o duchach wierzy. Niebywale. Najpierw krwawiące krzyże, a teraz to.

– To nie bajki. Możesz się śmiać. Jeśli chcesz zobaczyć krzyż w Kamienicy, bardzo proszę. Ale nie tę górę. Wychowałam się tutaj. Legendy legendami, ale prawdziwa śmierć to zupełnie co innego.

- Co masz na myśli?
- To przeklęte miejsce. I to nie jest legenda.
- Nie rozumiem...
- Tam kiedyś wydarzyło się coś strasznego.
- I teraz mi o tym mówisz? Opowiadaj. Lepiej nie mogłaś trafić – cieszy się Jakub.

Dziewczyna zastanawia się chwilę. Jest zła, że się wygadała. Teraz nie wie, co zrobić: powiedzieć czy przemilczeć sprawę.

- Tu mało kto chce o tym mówić.
- Dlaczego?
- Opowiem ci, ale obiecaj, że tam nie pójdziesz.
- Nie mogę ci tego obiecać.
- W takim razie nic ode mnie nie usłyszysz.
- I tak się dowiem. Rzecz w tym, że nie od ciebie – odpowiada mężczyzna, błyskając szelmowskim uśmiechem. – To smutne, bo liczyłem, że to będzie początek pięknej przyjaźni...

– Już dobrze! Podobno Szatan wpływa tam na ludzi. Dlatego miejscowi unikają tego szczytu. Nikt, kto znalazł się na nim po zmroku, nie przeżył następnych dni. Rozumiesz?

– Dziwne – rzuca Jakub zaskakująco poważnie. – Typowe, ale dziwne. Jak nazywa się ten szczyt?

- Góra Bogów Śmierci.
- O! Niezłe. Naprawdę dobre.
- Nie wierzysz?
- Ojej, od razu nie wierzę. Przecież to tylko legenda. Mówiłem ci. Dla relaksu mogę ją wyjaśnić. Nie

gniewaj się, wiesz przecież, że dla mnie legendy są nie po to, aby w nie wierzyć. W smoka wawelskiego też nie wierzę...

– Smok nikogo nie zabił.

– A Góra Bogów Śmierci zabiła?

Zamiast odpowiedzieć, dziewczyna rzuca lodowate spojrzenie. Ciało Jakuba przeszywa dreszcz, niosący ze sobą niepokój, który będzie go odtąd stale dręczył.

9.

Okoliczne wzgórza, Krzyżniak, Pasiekę, Mały i Wielki Jawornik oraz Trzeboń, zima roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego chwyciła w szpony mrozu, lecz śnieg nie spadł. Owszem, parę razy poprószyno, ale ziemia pozostała czarna do wiosny.

Tego dnia Wiesiek Zarieczny z robotnikami ze wsi pracuje w tartaku. Z kolei w trójkącie między Jawornikiem, Trzeboniem a miejscem, gdzie Złoty Jar opada w głęboką i wąską dolinę, jego brat Mietek i synowie pracują przy wyrębie.

– Będziemy wracać – mówi dorosły do dzieci.

– Wujek! – odpowiada natychmiast starszy z synów Wieśka. – To może jeszcze na mecz zdążymy?

Słońce chyli się ku szczytom. Mietek spogląda w niebo. „Za pół godziny zacznie się robić ciemno. Za godzinę będzie ćma” – myśli. Ogrzewa się przy ognisku urządzonym przez bliźniaków. Trzaski płonących gałęzi niosą się po dolinie. Bezchmurne niebo wlewa się pomiędzy pnie ciemniejącym granatem.

– Za daleko.

– A ile to jest? – odzywa się chłopak.

– Będzie z dziesięć kilometrów.

Złoty Jar zaczyna się pod szczytami i opada ku północy, razem ze Złotym Potokiem, przez niespełna sześć kilometrów. Trzeba zjechać w dół jaru, a potem odbić na Paczków i nadłożyć kolejne sześć.

– To za ile będziemy? – dzieciak nie daje za wygraną.

Cichną odgłosy walących się drzew, wyjących pił i lamanych gałęzi. Dźwięki traktorów, koni i nawołujących ludzi niosą się po dywanie zmrożonego igliwia i bukowych liści, pokrytych szronem skał i kamieni.

– Prawie dwie godziny trza jechać.

Las milczy. Nieruchomy, cichy, nieczuly. Im bliżej chwili, gdy słońce zniży się do widnokregu i zarzuci na niebo purpurowy dywan, tym Mieczysław jest bliższy decyzji.

– To ruszajmy, wujek, może zdążymy chociaż na drugą połowę.

Kiedy bliźniacy zasypują ognisko, Mietek wciąż się waha. Jest zmęczony, a wie, że istnieje jeszcze droga przez granicę, krótsza o ponad połowę. Musieliby tylko przejechać pod tamtą górą.

– Chyba że... – zastanawia się głośno. – No bo, cholera, zaraz ciemno będzie.

– Tutaj dolina, ale jak wyjedziemy – zauważa młodszy z bratanków – to jeszcze szarówka będzie.

– No właśnie – podłapuje dorosły. – Racja.

– Wujek, a na drugą stronę da się w pół godziny przejechać? – znów pyta młodszy.

– W pół to nie, przyczepy są pełne. Ale w niecałą godzinę tak.

– To byśmy nawet na pierwszą połowę zdążyli! – odpowiadają chłopcy w duecie.

Mietek waha się po raz ostatni. Poprawiwszy czapkę, zwiększa obroty. Wybiera krótszą drogę. Teraz dwadzieścia minut pod górę, a potem przejadą po płaskim zboczu na drugą stronę, gdzie jest ta poniemiecka droga. Za pół godziny powinno tam być jeszcze prawie jasno.

– Tylko ojcu nie mówicie, bo dopiero będzie! Ale by mi wasza mama leb suszyła!

Bratankowie milczą, rozgrzani obietnicą rychłego powrotu do ciepła, jedzenia i meczu w świeżo kupionym telewizorze. Mietek dodaje gazu. Słońce już schowało się za lasem. W świetle reflektorów widzą przelatującego nisko dużego ptaka. „To pewnie pu-chacz” – myśli traktorzysta, skupiając uwagę na kamienistej drodze.

– Choroba, trza się pilnować – mówi. – Synki! Patrzyć, bo coraz gorzej widać. A oczy macie młode.

– Ja dobrze widzę – uspokaja starszy.

Mieczysław się uśmiecha. Odpycha myśl, że za chwilę znajdą się tuż pod tym szczytem. Przekonuje sam siebie, że ciągnik nie sprawia problemu, ładunek jest zabezpieczony, a starzy ludzie po prostu lubią opowiadać niestworzone historie. „Aby do rozstaju

przy Trzech Bukach – dodaje sobie animuszu. – Dalej już z górki”. Dosłownie i w przenośni, bo tam będą najbliżej tego miejsca.

Sekundę później mężczyzna przyhamowuje, a koło w drugiej przyczepie blokuje się na moment. Mietek, zerka w lusterko. Widzi tylko ciemność, bo nie podłączył przecież świateł przyczepy. Nagle coś szarpie kierownicą. Wciska hamulec. Ciągnik się zatrzymuje i, pociągnięty przez przyczepy, zsuwa z drogi. Kabina uderza w drzewo, a wysypujące się pnie ją miażdżą. Obroty silnika spadają, lecz on terkocze dalej.

10.

Starszy szeregowy Wojsk Ochrony Pogranicza Tomasz Krawiecki pochodzi z Opatowa. Jest niespełna dwudziestoletnim żołnierzem służby zasadniczej. Po zawodówce, nim dostał bilet do wojska, przepracował rok w ostrowskiej hucie. Tęskni za domem i za dziewczyną.

Patrolując pas graniczny kwadrans po wypadku, zauważa odciski opon na zmarzniętej ziemi.

– Gościce, tu pieszy jeden – woła przez radiotelefon. – Gościce, tu pieszy jeden. Gościce, zgłoś do pierwszego – powtarza, ale nasobne radio milczy. – Udaję się na terytorium Czechosłowacji – kontynuuje z nadzieją, że ktoś go jednak słyszy. – Jestem w sektorze cztery przez trzy.

Chwilę potem żałuje decyzji: między drzewami jest ciemniej niż na odkrytym pasie granicznym, Krawiec-

kiemu szkoda marnować baterie na oświetlanie drogi latarką.

– Szlag by to trafił – klnie pod nosem.

W tej samej chwili zdaje mu się, że coś słyszy. Przystaje. Noc niesie odgłos silnika. Rusza, mając przez oczyma dziewczynę, która czeka na każdy jego urlop i każdą przepustkę.

Kilka minut później żołnierz znajduje się na miejscu wypadku. Dostrzega roztrzaskany traktor i rozbite przyczepy.

– Jest tam kto? Halo? Halo!

Widzi pogieętą kabinę, więc nie wierzy, że traktorzysta mógł przeżyć. „Chyba że wypadł albo wyskoczył” – myśli, okrążając wrak z latarką. Wtedy dociera do niego jęk.

– Halo? Żyje pan? – krzyczy Krawiecki, zbliżając się do kabiny, wciśniętej w pień świerka. – Proszę się odezwać! – wrzeszczy, gdy dostrzega kawałek ubrania.

– Ratuj dzieci, człowieku! – słyszy szept.

– Niech się pan nie rusza!

Nie czeka na odpowiedź. „Gdyby udało się pomóc, pewnie dostałbym z miesiąc urlopu!” – przychodzi mu na myśl. Ktoś tu być może właśnie umiera... Żołnierz zdaje sobie sprawę, że nic nie zdziała bez łączności. Cholera wie, co to dokładnie za miejsce. A tu wypadek, tamten mówi, że są dzieci. Krawiecki zerka na mapę. Po czeskiej stronie nie ma nazw, a jedynie zarys terenu, roślinność, punkty wysokościowe i najważniejsze obiekty.

– Sprowadzę pomoc – mówi i idzie szukać odpowiedniego miejsca.

Po kilku minutach na tle granatowego nieba widzi skały. Wdrapuje się na nie, rozkłada mapę, zapala latarkę.

– Gościce, tu pieszy jeden!

– Słyszę cię cały czas, pieszy jeden – trzeszczy w głośniku.

– Pomoc potrzebna!

– A co ci się stało?

– Nie mnie, traktor granicę przekroczył. Wypadek miał. Ktoś jeszcze żyje.

– A gdzie jesteś konkretnie? Ilu rannych?

– Nie wiem dokładnie. Ciemno. Człowiek w kabine mówi, żebym dzieci ratował. Z trasy patrolu zeszedłem do Czechosłowacji na czterdziestym kilometrze. Jak, doleciało?

– Na czterdziestym kilometrze!

– Zgadza się. Znalazłem ciągnik. Teraz wyszedłem na górę z mapy, jestem w kwadracie – zerka w snop światła – cztery przez trzy. Szczyt oznaczony jako sześćset dziewięćdziesiąt jeden.

Nastaje chwila milczenia. W strażnicy WOP rozdzwaniamy się telefony.

– Gościce, doleciało?

– Krawiecki, siedź na dupie. Zrozumiano?

– Taaa jest!

„Oho – myśli szeregowy – nieźle wkurzyłem oficera dyżurnego”. Daleko, w ciemnościach miga poma-

rańcowy punkt. Zarządzono alarm, ale już nie jest potrzebny: Mieczysław właśnie skonał, a chłopcy zginęli wcześniej, od razu.

– Pieszy jeden, tu Gościecie – odzywa się oficer dyżurny.

– Zgłasza się pieszy jeden.

– Słuchajcie, jeden. Możecie udzielić rannym pomocy?

– Sam nic nie poradzę.

– Przyjął. Zostańcie tam, gdzie jesteście. Wysyłam ludzi. Utrzymujcie łączność. Słuchajcie stacji, będą was wołać.

– Taaa jest!

Zadowolony żołnierz myśli o dziewczynie. Nie wie jednak, gdzie się znalazł. Po chwili zaczyna czuć się nieswojo. Do jego uszu nie dociera już odgłos silnika. „Czyżby zgasł?” – zastanawia się. Jasne, to przecież możliwe. Czas ciągnie się w nieskończoność. Kolejne spojrzenia na nadgarstek niewiele zmieniają. Szeregowemu zdaje się, że słyszy szept. Wytęża wzrok, ale w ciemnościach nikogo nie widzi. Uśmiecha się, nigdy jeszcze nie był w takim miejscu. „Będzie co opowiadać” – myśli, znów spoglądając na swego poljota.

– Co, do cholery? – mruczy. – Siedemnaście kamieni. Ruskie dziadostwo.

Krawiecki nakręcił mechanizm jak zwykle po śniadaniu, więc nie rozumie, dlaczego zegarek nagle się zatrzymał siedem po północy. Natychmiast jednak przestaje o tym myśleć, bo ogarnia go dziwne, niezro-

zumiale uczucie. Jakby nie był sam. Jego węch rejestruje ostry, wyraźny smród. Rozpoznaje go od razu – tak śmierdzieć może tylko padlina. Nie dociera do niego żaden dźwięk. Szmer, powiew wiatru, skrzypnięcie czy odgłos ptaka albo innego zwierzęcia nie istnieją. Krawieckiemu wydaje się, że stracił słuch. „Nawet ogłuszenie granatem jest inne, bo słyszałbym piszczenie – myśli. – A nie słyszę nic”. Jakby wokół zamarło życie.

– Stój! Kto idzie? – krzyczy. – Stój, bo strzelam!

Nie wiadomo, dlaczego to zrobił. Może to instynkt, a może szkolenie. Ogarnia go strach, lecz nie jest to to samo uczucie co wcześniej. Teraz coś ściska jego ciało, jak gdyby potężna siła wzięła go w ramiona. Serce podchodzi szeregowcowi pod brodę.

– Kto tam?

W odpowiedzi widzi jednie parę z własnych ust na tle księżycy wychodzącego zza chmur. Robi mu się bardzo zimno, a przecież wiele godzin spędził w lesie. I to nie tylko tu, na tej cholernej granicy, ale jeszcze jako dziecko, w rodzinnych stronach.

– Stój, bo strzelam! – grozi znów, zdejmując z ramienia karabinek.

Drżącą ręką odciąga suwadło. Zamek, powracający pod sprężyną, wprowadza nabój do komory. Suchy trzask odbija się echem niczym grzmot. Krawiecki niczego nie widzi, lecz czuje, że coś czai się tuż przed nim. Drżącą dłonią popycha w dół przełącznik ognia. Po chwili zbiera się w sobie. Ściska broń. Kładzie pa-

lec na spuście. Robi ostrożny krok w przód. Potem jeszcze jeden. Stara się dostrzec, co kryje się w mroku. Chmura zasłania księżyc. Żołnierz czuje, jak ogarnia go potworne zimno. Krok dalej pod podeszwą nic już nie ma. Rozpaczliwie poszukuje czegoś, co dałoby oparcie, ale dłoń napotyka powietrze. Oczy się rozszerzają, palec odruchowo naciska na spust.

– Ta, ta, ta, ta, ta – odgłosy strzałów przerywają ciszę otaczającą Wysoki Kamień.

Kilka kilometrów dalej wąsaty pasażer pierwszego z trzech oliwkowych UAZ-ów wyteża słuch.

– Krawiecki strzela? – pyta kierowcę.

Obaj niejedną raz słyszeli strzelający AKMS.

– Na to wygląda.

– Ale żeby cały magazynek od razu? Dziwne. No i do kogo?

Chwilę potem wopista wywołuje oficera dyżurnego, powiadamia, że słyszeli strzały. Radiotelefon szeregowego milczy, bo śmierć zamknęła mu usta.

11.

Kammler organizuje spotkanie w białym pałacyku leżącym na wschód od Wolfsschanze. Pod spojrzeniem prowadzącego znikają uśmiechy. W tym bezwzględny wzroku nie ma miejsca na jakiegokolwiek skrupuły. Mężczyzna w kurtce pilota Luftwaffe, siedzący przy wygaszonym kominku, skłania głowę, gdy wzrok von Brauna zatrzymuje się na poparzonej twarzy.

– Jak panowie zapewne już wiecie – zaczyna Kammler – uczyniono mnie specjalnym przedstawicielem dowódcy SS przy programie, z powodu którego się tutaj zebraliśmy. Ale nie ma się z czego cieszyć. Nie jest dobrze. Weźmy się do pracy – cedzi, po czym dotyka ustami brzegu szklanki z wodą. – Sprawa jest poważna – postanawia zaprezentować pomysł mający zaważyć na losach nie tylko Rzeszy, lecz także świata. – Pewnie już wiecie, że RAF – obrzuciwszy wzrokiem zebranych, zatrzymuje spojrzenie na twarzy von Brauna – przeprowadził bombardowanie, które zniszczyło Peenemünde – milknie, by wywołać większy efekt. – Niektórym z nas ledwie udało się ująć z życiem, czyż nie, panie doktorze?

– Nie wszyscy – odpowiada von Braun – mieli tyle szczęścia co ja.

– Dzięki Bogu nas ono nie opuściło. Nie wszystko zniszczono. Niemniej bombardowanie oznacza, że nasi wrogowie wiedzą już o istnieniu ośrodka.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Potrzebna nam nowa lokalizacja.

– Ma pan jakieś propozycje? – mówiąc to, von Braun ściera jedwabną chusteczką pot z czoła.

Przez następne minuty Kammler referuje, zmieniając mapy. Przedstawia śmiałą koncepcję: Wehrmacht do końca roku wycofa się za linię Witebsk–Kijów–Odessa. Na sali pojawia się szmer przerażenia. Większość zebranych jednak milczy. Kammler tymczasem snuje szaleńczą wizję, według której za rok, w grudniu

czterdziestego czwartego roku Armia Czerwona przekroczy linię Curzona, wyprze Wehrmacht za Wisłę i oprze front o Karpaty. Kolejna mapa zakłada utratę Słowacji, Rumunii, Węgier, Bułgarii i Czechosłowacji na południu oraz opiera front brzeg Odry na północy. To nie wszystko! Następna mapa, tym razem basenu Morza Śródziemnego, przedstawia utratę Włoch, co nie jest znów aż tak nieprawdopodobne.

– Ależ! – oburza się ktoś z sali. – Zbyt duże czar-nowidztwo pan nam tu prezentuje!

– Panowie! – wtrąca się Speer – proszę pozwolić Oberführerowi skończyć.

Spojrzenia Speera i Kammlera się spotykają. Inni także spoglądają po sobie, zdziwieni.

– Proszę posłuchać – ciągnie spokojniej Kammler. – Alianci już wylądowali na Sycylii. Mussoliniego osunięto od władzy. Jest uwięziony, a wyspy mimo twardego oporu nie udało się utrzymać. Uważam, że uderzenie wroga na Półwysep Apeniński to kwestia dni.

Następne mapy przedstawiają sytuację z trzecim frontem na północnym wybrzeżu Francji. Pokazując ostatnią mapę, na której terytorium Rzeszy kurczy się do granic sprzed trzydziestego ósmego roku, Kammler nie pozostawia wątpliwości.

– Czyli twierdzi pan, że do końca czterdziestego piątego przegramy? – pyta Speer.

– Nie, ale uważam, że powinniśmy być daleko-wzroczni. Dla dobra Niemiec.

– Jaki to ma związek z nami? – chce wiedzieć von Braun. – Przecież nie jesteśmy żołnierzami.

– Właśnie! Jak wspomniałem – wyjaśnia Kammler – konieczne jest przeniesienie waszego projektu w bezpieczne miejsce.

– Ale co to znaczy? – wtrąca się Hermann Oberth. – Bezpieczne miejsce? Przecież alianci są w stanie dolecieć i zrzucić bomby w każde miejsce!

Kammler nigdy nie lubił tego skurwysyna. Cholernej austriacki fantasta! Ale nie można tej świni zarzucić, że jest głupcem. Nie dość, że ma pieprzoną rację, to jeszcze jest bardzo ważny dla projektu.

– Cóż – wzdycha specjalny przedstawiciel. – Tak, panie doktorze. Gdybyśmy znaleźli się w aż tak trudnej sytuacji, to gdziekolwiek przeniesiemy waszą pracę, będzie zagrożona bombami. Dlatego proponuję ulokować ośrodek tutaj – wskazuje szpicrutą rejon na mapie. – Kiedy wykujemy tunele w skałach, zalejemy wejścia betonem i przystosujemy obiekt do długotrwałej obrony, to nasze twierdze będą nie do zdobycia. Zresztą – macha ręką – już mamy tunele. Od lat istnieją tam przecież kopalnie. Wystarczy, że je rozbudujemy. Żadna bomba nie jest w stanie przebić sześćdziesięciu metrów skały. A w górach mamy surowce, które są do realizacji naszego planu niezbędne.

– Czy to oznacza utratę Berlina? – pyta Oberth.

– Możemy się przygotować na przetrwanie najtrudniejszych chwil poza stolicą. To pozwoli nam zyskać na czasie i doprowadzić plan do końca. Wtedy

odzyskamy nie tylko Berlin. A zatem, panie von Braun? – kontynuuje Kammler. – Kiedy będzie pan gotowy?

– Ach – ciężko wzdycha naukowiec. – To bardzo trudne pytanie.

– Proszę spróbować.

– Prawdę mówiąc – jaką się doktor – potrzeba nam jeszcze czasu. Prawda, panowie? – zwraca się do współpracowników.

Ernst Steinhoff, Oberth, Tessmann, a nawet milczący generał Dornberger kiwają głowami. Wszyscy zdają sobie sprawę, że zniszczenie ośrodka opóźni ich pracę co najmniej o kilka miesięcy. Może pracowałoby lepiej, gdyby nie rezerwa, z jaką jeszcze niedawno odnosił się do ich prac Hitler.

– Pozostaje jeszcze wiele nierozwiązanych problemów. Niemniej mam nadzieję, że na początku przyszłego roku. Zaznaczam: nie ma pewności, czy będzie ona w pełni gotowa do bojowego użycia.

– Dlaczego?

– Potrzebne są środki – zabiera głos generał. – Tymczasem sukcesywnie się ich nam odmawia.

To policzek dla Speera, który natychmiast czerwienieje. Prawda jest bowiem taka, że faktycznie odmawiał wsparcia dla programu. Nic dziwnego, bo mrzonki Hitlera o cudownej broni pochłaniają miliony, a za to można wyprodukować dziesiątki czołgów, dział i samolotów.

– Środki będą – odpowiada. – Ma pan moje słowo. Sytuacja się zmieniła, prace ruszą natychmiast. Zajmie się tym Organizacja Todt, ale zapytam wprost – spogląda natarczywym wzrokiem na von Brauna. – Czy jesteście w stanie dać broń, która pozwoli nam na zwycięstwo?

– Bez wątpienia.

– Kiedy? – dopytuje. – Kiedy będzie gotowa?

– Za dwa, trzy lata – odpowiada von Braun i nastaje cisza.

Tak oto rozpoczęła się nowa karta w historii II wojny światowej. Kilka godzin później zapadną rozkazy dotyczące budowy tajnej kwatery Hitlera w sudeckim kompleksie Riese oraz przeniesienia linii produkcyjnych tajnej broni do sztolni drążonych w górach. Ten szalony projekt przyplacą życiem tysiące więźniów w kilkunastu obozach pracy na terenie Niemiec, Austrii i dzisiejszej Polski.

12.

Planując wywoływanie ducha, Kazik zamierzał się tylko zabawić. Zorganizował wszystko tak, aby było bezpiecznie. Szczególnie dokładnie przemyślał wybór miejsca, gdzie znajdzie się ogień. Nie wiedział, że Władeczek ma duże zdolności parapsychiczne. Zresztą najmłodszy z nich, jak większość podobnych mu ludzi, sam nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Cholera jasna – marudzi Władeczek tymczasem – zmarzłem. Siedzimy tu jak durnie, urządzamy głupie

zabawy... Po jaką cholere usiedliśmy tak daleko od ognia? Zimno mi. Wracajmy do ognia.

– Nie! Poczekaj – ostrzega Kazik. – Nie wstawaj, nie rozrywaj kręgu. Jeszcze chwilę i kończymy.

– Mnie tam jest ciepło – wtrąca Genek.

– Cicho! – ucina rozmowy Kazik. – Duchu, jeśli przybyłeś, daj nam znak, że jesteś.

I wtedy dostrzegają poruszający się talerzyk. Widzą wyraźnie, jak przesuwają się wolno po planszy. Wzdłuż kręgosłupów biegną im dreszcze. Władeczek nie może opanować drżenia rąk, Kazik nie rozumie, co się dzieje. Zerka na ogień.

– Ej! Chłopaki! – mruży Franek. – Dajcie spokój.

Wokół coś się dzieje. Dopada ich cisza, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczyli. Przypomina tę chwilę, gdy w wannie zanurza się głowę i wraz z wodą w uszy wlewa się nicość. Lodowate powietrze, wciągnane z każdym wdechem, jest ciężkie. Szczyt spowija gęstniejąca mgła. I ten odór.

– Za późno – odzywa się mały. – On już jest z nami.

– Też to widziałem – szepcze Kazik. – Przysięgam, nie przesuwalem talerzyka.

– Ja też nie – dodaje przestraszony Genek.

– Jezu! Władus – jęczy Kazik – przyznaj się. To ty?

– Nie chodzi o talerzyk. Nie umiem tego wyjaśnić, ale to czuję. On tu jest.

– Kto? – mówi Kazik. – Kto tu jest?

Metalowa menażka przewraca się, wywołuje przeraźliwy hałas. Kilka metrów dalej butelka z wodą spada z kamienia. Ognisko strzela ogniem, jak gdyby ktoś podlał je ropą. Pęka sucha gałąź.

– On.

– Jezu! – stęka blady Genek. – On naprawdę nie zalewa!

– Uspokójcie się, co cholery! – Kazik stara się zapanować nad sytuacją. – Przecież sami tego chcieliśmy, tak?

– Ty chciałeś – mruczy Władeczek.

– Nie zmuszałem was. Doprowadźmy to teraz do końca.

Jest zadowolony. Ogień pali się mocno, tak, jak im teraz trzeba. „Wszystko przebiega zgodnie z planem – myśli pomysłodawca seansu, zerkając na ognisko. – Tylko Wladek jakiś dziwny. Pewnie to strach”.

– Kazik ma rację – popiera kolegę Franek.

– Dobra – zgadza się Genek. – Chyba nie mamy wyjścia.

Spoglądają na przerażonego malca. Ręce wciąż drżą mu jak w febrze. Kiwa głową, a jego twarz wygląda, jakby zmieniała się w demoniczną maskę.

– W takim razie – uroczyście mówi Kazik – duchu, powiedz, kim jesteś.

Talerzyk wyrzywa się spod ich palców i uderza chłopca w brzuch. Ten pada na plecy, jęcząc z bólu. Pozostali zrywają się na równe nogi. Ale nie mały Władeczek, on leży na plecach.

– Aargaroth – odzywa się, ale to nie jego głos.

Kazik na klęczkach, trzymając się za brzuch, unosi głowę. Pozostali dwaj zatrzymują spojrzenia na malcu. Ten zaś wywała oczy w górę, widać tylko białka. Gardła ściska wszystkim obręcz strachu, tak przeraźliwego, jaki można poczuć tylko raz w życiu: tuż przed własną śmiercią.

– Pomóżcie! – rzuca Kazik, przesuwał się w kierunku Władeczka. – Coś mu się stało?

W ogniu coś syczy, niczym upuszczane powietrze. Ognisko przygasa. Ciemność potęguje strach do granic oblędu. Franek chwytając lampę, podkreca knot. Ich blade twarze oświetla jasny, upiorny blask.

– Co to? Slyszeście? – pyta Franek z przerażeniem.

Słyszą kroki. Wyraźne, na tyle głośne, by nie pozostawiać wątpliwości. Trzeszczą łamane gałęzie. W kręgu światła lampy chłopcy widzą poruszające się gałęzie i drzewa. Nie są już sami. Ktoś chodzi wokół.

– Musimy coś zrobić! – wrzeszczy Franek. – Słyszysz? – rzuca w kierunku Genka. – Zrób coś z nim!

Genek jednak jest sparaliżowany strachem. Nie może wykrztusić z siebie ani słowa, a cóż dopiero dotknąć kolegi, który najwyraźniej postradał zmysły. Gdy zauważają ciemniejącą plamę na nogawce Genka, uświadamiają sobie, że to nie zabawa.

– Kazik! – apeluje Franek – To ty go wołałeś, więc go odwołaj! Odwołaj ducha. Odwołaj, do cholery!

Przerażony Kazik spogląda na kolegę trzymającego lampę. Kiwa głową. Wie, że to jedyne wyjście. Wie też, że sytuacja wymknęła się spod jego kontroli.

– Siadajcie – poleca. – Duchu – mówi płaczkliwie – udaj się, skąd przybyłeś. Duchu...

– Aargaroth – znów słyszą głęboki, skrzekliwy baryton z ust Władka, po czym chłopiec mruga oczami, jakby się właśnie obudził.

Gramoli się z ziemi jak bokser na ringu trafiony sierpowym. Spoglądają po sobie, nic nie rozumiejąc. Szelesty cichną, krzaki i drzewa przestają się ruszać. Wraca spokojna wiosenna noc w górach. Ogień znów zaczyna się palić. „Już po wszystkim” – myślą. Ogarnia ich odprężenie.

– Jezus Maria! – mruczy Kazik, zerkając na ognisko – Ale miałem pietra!

– Władek, co ci się stało, do cholery? – wtrąca się Franiu. – Zemdlaleś ze strachu?

Mały milczy, przecierając oczy. Z zażenowaniem spoglądają na portki Genka. Ten nadal się trzęsie.

– Uff – wzdycha Kazik. – Dobrze, że to się już skończyło.

– Co za kretyński pomysł! – mruczy Franio. – Co się stało? Możesz mi to wyjaśnić?

– Spójrz – Kazik wskazuje skołowanego malca i Genka w zeszczanych spodniach.

„Nie tak miało być” – myśli. Ale nie ma już wyjścia, musi doprowadzić plan do końca, a jest pewien, że nie zostało już wiele czasu.

– Dobrze, że jesteśmy bezpieczni – mruczy Genek, wstając z kręgu.

– Nie wstawaj!

Nie slysza już tego jednak. Noc rozdziera potworny huk. Dzieje się to, co Genek przed chwilą widział w myślach: nieznaną siłą odrywa mu oba ramiona, a jego ciało w mgnieniu oka staje się żywą pochodnią. Władeczek leży na ziemi z roztrzaskaną czaszką. Nad ich głowami rozpędza się wiatr. Las dziko tańczy pomiędzy płomieniami, strzelającymi na kilka metrów. Drzewa wirują w szaleńczej karuzeli.

Kazik i Franek rzucają się do ucieczki. Pędzą na oślep, byle dalej. Chwilę potem na ziemię spadają pierwsze krople deszczu. Granatowe niebo przecinają błyski, grzmoty przewalają się z potwornym echem przez doliny. Chłopcy w ciemnościach przewracają się, ranią, obijają o pnie. Tych, którzy zostali na szczycie, na zawsze otacza ciemność.

13.

Pióra przelatujących nad nimi gołębi cicho świszczą. Na horyzoncie dym wolno unosi się białymi kłębami w lepkim powietrzu. Dobiegają ich krzyki dzieci, odgłosy przejeżdżających samochodów, szczekanie psa. Jaskółki latają nisko. W dali bicie dzwonów.

– Paula, jaki demon? Nie bądź śmieszna!

– Nie jestem. To prawdziwa historia.

– No dobra – Jakub włącza analityczne myślenie. – Powiedziałaś, że poszli we czterech. Wrócili we dwóch?

– Tak.

– A co się stało z tymi, którzy nie wrócili?

– Nigdy ich nie odnaleziono.

– To niemożliwe.

– Naprawdę!

– Kiedy to było?

– Chyba w latach sześćdziesiątych. Możesz zapytać taty.

– Dobrze – mruczy mężczyzna – przypuśćmy, że to prawda. Co zatem powiedzieli pozostali dwaj, jak już demon opuścił ich ciała? – drwi.

– Nigdy ich nie opuścił.

– Co?

– Nic nie powiedzieli.

– Jak to możliwe? – pyta Jakub z irytacją. – Zastanów się: przecież jeśli dwóch młodych ludzi zaginęłoby w górach, poszukiwaliby ich rodzice. Pozostała dwójka musiałaby zostać przesłuchana przez milicję! Nonsens!

– Poszukiwano ich – denerwuje się dziewczyna. – Milicja, pogranicznicy, strażacy i ludzie z okolic przez kilka dni przeczesywali góry. Ale nic nie znaleźli.

– Nie wierzę. A tamci co? Oglądali telewizję, tak? I ani pary z ust?

– Zostali opętani.

– Opętani?

– Trafili do szpitali. Jeden był w potwornym stanie.

– O! – znów drwi on. – Dobrze. Mocne. Bardzo dobre.

– Wiem tylko – dodaje Paula – że w kółko powtarzał jakieś słowo.

– Jakie?

– Nie pamiętam. Dziwne. Brzmiało jak nazwa jakiegoś bóstwa.

Jakub kręci głową, lecz gdzieś głęboko czuje niepokój. Coś przypominającego delikatne ukłucie igielką. Mimo wszystko to, co opowiedziała Paulina, nie jest tak zupełnie nieprawdopodobne. Kto jak kto, ale on wie, że Kościół zna wiele podobnych przykładów. Abstrahując od oszustw, niezmiernie rzadko, ale jednak trafia się coś, co zdrowy rozsądek i naukowcy uznaliby za niemożliwe.

– Śmieję się, śmieję – mówi dziewczyna. – Ciekawe, co powiesz, jak usłyszysz, co było dalej.

– A, przepraszam. Myślałem, że to już koniec.

– Obaj zginęli osiem dni później.

– Mówisz poważnie?

– Najpoważniej w świecie. Ani przez chwilę nie żartowałam.

– Hm – chrząka Jakub. – Ciekawe, ciekawe. Dobrze byłoby to sprawdzić.

– Tylko jak?

– Na początek – odpowiada, wpatrzony w tajemniczy szczyt – powinienem się tam wybrać.

– Zwariowałeś? – niemal wrzeszczy Paula. – Chcesz tam iść?

– Chcę, bo co?

– Bo nie skończyło się na tej czwórce.

– Co masz na myśli? – niepokoi się mężczyzna.

– Zanotowano jeszcze inne przypadki niewyjaśnionych zgonów.

– Naprawdę?

Tym razem Jakub czuje, że opowieść dziewczyny to coś więcej niż jeszcze jedna legenda wymyślona na potrzeby turystów.

– Zginął tam pewien pracownik leśny. A z nim dwóch chłopców, bracia bliźniacy. Tej samej nocy znaleziono w pobliżu martwego żołnierza WOP.

– Hm, to co innego. Może jakiś seryjny zabójca? – mężczyzna kręci głową, nie wiedząc, co myśleć.

Faktycznie: czym innym jest opowieść o demonie, a czym innym są przypadki prawdziwej śmierci. „Tym bardziej że te drugie można dość łatwo zweryfikować, a potem wyjaśnić” – intensywnie myśli Jakub.

– Jakby się zastanowić – kontynuuje dziewczyna – to ta góra jest winna śmierci jeszcze kilku innych ludzi.

– To znaczy?

– Ojciec tamtych bliźniaków również nie żyje.

– Naprawdę?

– Zgadnij, gdzie go znaleziono.

– Nie mów, że na tamtej górze?

– Uhm. Więc zastanów się, czy naprawdę chcesz tam iść.

– Jest tam jakaś droga?

– Mówi się, że to najbardziej niedostępne miejsce w Sudetach. Nie znam nikogo, kto tam był i chciał wrócić.

Mężczyzna uważnie patrzy na swoją towarzyszkę: ona naprawdę wierzy w to, co opowiedziała.

14.

Ojciec Pauliny ogląda *Teleexpress*, kiedy Jakub prosi go o chwilę rozmowy. Jako policjant, wieloletni naczelnik komisariatu w Paczkowie, ten człowiek może przecież coś wiedzieć.

– Eee – odpowiada glina – niewiele, proszę pana. Jeszcze nie pracowałem.

– Miałem nadzieję... Wie pan, taka głośna sprawa...

Policjant się zastanawia. Jak się wydaje, ma około pięćdziesiątki. Szczupły, niewysoki, lecz wyprostowany i elegancki, jak na swój wiek wygląda świetnie.

– Późno poszedłem do firmy – informuje, strzepując popiół do popielniczki. – Zaraz po stanie wojennym. Widzi pan – dodaje – to była jedyna szansa na mieszkanie – uśmiecha się nerwowo, jakby to miało go wytłumaczyć.

– Rozumiem. No ale może jakieś dokumenty? Albo coś się panu obilo o uszy?

– To zbyt dawno... – Henryk zaciąga się dymem. – Tyle lat? Kawał czasu.

Właściwie Jakub spodziewał się takiej odpowiedzi. Kiedy Paulina zaproponowała rozmowę z ojcem, natychmiast tak właśnie pomyślał: „Tyle lat? Bez sensu, po pół wieku z takich spraw niewiele się już pamięta”.

– I tak panu dziękuję.

– Nie ma za co – rzuca policjant. – Widzę, że na dobre zajął się pan pisaniem książki?

– Tatku! – wtrąca Paula. – Przecież mówiłam ci, że Jakub nie pisze książki. To praca naukowa.

– A tak, tak – odpowiada jej ojciec, machając ręką – zapomniałem. Człowiek tak jakoś zapamiętał. Wie pan, pierwsze wrażenie. I tak zostało.

Do pokoju, niczym torpeda, nagle wpada Helena. Staje z rękami na szerokich biodrach między mężem a telewizorem, zasłania obraz. Chwyta popielniczkę i znika z nią w świetle drzwi.

– Cholera jasna, Henryk! – ruga męża. – Człowiek na moment gdzieś pójdzie, a ty już! Ciemno, jakby ryby wędzili. Siekierę można powiesić. A ty jeszcze z gościem rozmawiasz. Wstyd.

– O, proszę! Takie mam życie – skarży się Modrak szeptem. – Widzi pan?

– I kto tak naprawdę rządzi w Paczkowie... – dodaje Paulina, chichocząc.

– No cóż – odpowiada dyplomatycznie Jakub. – Takie życie.

Uśmiecha się, ale przed oczami wciąż ma symbol przed chwilą dostrzeżony na popielniczce. Brak mu śmiałości, by zapytać. Postanawia: przy najbliższej

okazji zapyta Paulinę. Tym bardziej że zamierzał to zrobić już wcześniej, po pysznym serniku zjedzonym pierwszego ranka tutaj.

– A pan? – odzywa się Modrak. – Wciąż wolny?

Gość udaje zawstydzenie, ale prawdę mówiąc, to pytanie go bawi. Ludzie zwykle nie zagadują go o to, rozumieją, że brak żony to zwykła rzecz. Ale ci tutaj nie znają prawdy, nie mogą jej znać. Więc mają prawo pytać.

– Niech więc się pan zastanowi – żartuje policjant.

– Sam pan widzi, jakie mam życie.

– Oj, tатku, nie narzekaj. Źle ci?

– Dobrze mi, dobrze! – Modrak całuje córkę w czoło. – Ty mój skarbie.

Paulina się czerwieni, a Jakub czuje się dziwnie jako świadek tego nagłego przyływu uczucia. Nie wiadomo dlaczego ta scena wydaje mu się sztuczna. „Modrak to same sprzeczności – myśli. – Z jednej strony sztywny, twardy glina, a z drugiej, cóż, pantoflarz i kochający ojciec. A może nie jest szczerzy?”.

– No nic, panie Modrak, dziękuję. Może jeszcze czegoś się dowiem.

– Niech pan jedzie do Kamienicy. Kto wie? Może stary Leszczyński coś panu powie? Jak przyszedłem tutaj, on już pracował od stu lat – uśmiecha się – więc powinien coś pamiętać. W sześćdziesiątym ósmym był już w milicji, bo opowiadał, co się tu wtedy działo.

– A gdzie go znaję?

– Problemu nie będzie: mieszka obok kościoła. Każdy go zna. Zapyta pan, to panu powiedzą.

– Wobec tego raz jeszcze dziękuję.

– Przy okazji możecie obejrzeć pogorzelsko.

– Pogorzelsko?

– W Kamienicy – Modrak uważnie obserwuje Jakuba. – Tamtej nocy, kiedy pan przyjechał, spłonęła stodoła obok kościoła.

– A tak. Pytał mnie pan o to.

– Właśnie. Doniesiono mi, że przyjechał pan od strony Kamienicy. A jechał pan podobno z Krakowa?

– Przegapiłem znak w śnieżycy. O mało nie potrafiłem jakiejś staruszki. To ona mnie pokierowała, zawróciłem i trafiłem tutaj.

– Aha.

– Pan podejrzewa, że mam coś wspólnego z pożarem?

– Nie, nie, skąd ta myśl, panie Jakubie? Absolutnie. Ale wie pan – uśmiecha się spod wąsa, lecz jego w oczach nie ma uśmiechu – miałem nadzieję, że coś pan zauważył.

Wychodzących odprowadza chłodne, wnikliwe spojrzenie. Po chwili Henryk podchodzi do okna. Zapala kolejnego papierosa i przygląda się parze przez koronkowe firanki. Jego twarz jest skupiona, uważna, a oczy – szeroko otwarte.

– Wiesz, Hela, on mi się nie podoba.

– Co masz na myśli?

– Jeszcze nie wiem. Ale się dowiem.

15.

Heinz Watz do ostatniej minuty się nie odzywa. Po kieliszku koniaku jego twarz, okaleczona rozległą blizną, przybiera bardziej okrutny wygląd niż esesmańska morda Kammlera. Dopiero gdy spotkanie dobiega końca, a zebrani wolno opuszczają salonik w atmosferze cichych rozmów, jego wzrok spotyka umęczone oczy Wernhera von Brauna.

– Ileż to upłynęło miesięcy?

– Jedenaście – odpowiada Watz. – A ty, jak widzę, nadal niezbyt dobrze znosisz latanie? – przerażającą twarz niespodziewanie rozjaśnia przepiękny uśmiech.

– Hm... Tobie chyba również niezbyt dobrze służy lotnictwo? – von Braun wskazuje ślady po oparzeniach na policzku. – Nieprawdaż?

– Lotnictwo to nie to samo co latanie.

– Latanie to nie to samo co życie.

– Ale czym by ono było bez latania? – śmieje się Watz.

– Dobrze cię widzieć – von Braun mówi, podając prawą dłoń. – Nawet w takim stanie.

Watz miał wypadek niespełna rok wcześniej, był to skutek największej pasji jego życia. Od kiedy skończył dwanaście lat, opętało go marzenie. Już wtedy, w trzydziestym trzecim zdecydował, co chce robić. Jako syn arystokraty, miał dostęp do wszystkiego. Mógł uprawiać rozwijające się wówczas sporty motorowe, polować, jeździć konno albo na nartach. Pozostał jednak na zawsze wierny lataniu.

– No cóż – odpowiada pilot – jak się jest oblatywa-
czem, wypadki są wliczone w ryzyko zawodowe.

– Wciąż nie wstąpiłeś do partii?

W trzydziestym siódmym roku szesnastoletni Hein-
z, znudzony już modelarstwem, zapisał się na kurs
pilotażu w Grunau. Okazał się najzdolniejszym
uczestnikiem szkolenia. Dwa lata później zdobył licen-
cję pilota samolotowego, co dało mu przepustkę do
prawdziwego latania. Dzięki talentowi i pracowitości
bardzo szybko zaczął odnosić sukcesy sportowe, ale
wojna wszystko zmieniła.

– Niemcy potrzebują mnie bardziej niż partia –
mówi Watz.

– Czyżby? Przecież partia to Niemcy.

Watz uśmiecha się gorzko. Dziś, już w prawie pią-
tym roku wojny, zastanawia się, w jakim kierunku po-
dąża jego kraj. Zastanawia się z niepokojem, bo to, co
się stało, dało mu czas do myślenia.

– Niemcy – zaczyna ostrożnie – potrzebują mnie
bardziej jako pilota, tak jak ciebie jako naukowca.
Wymyśl broń, która da nam zwycięstwo, a ja spraw-
dzę, czy nadaje się do użycia.

– Co się stało?

– Wiesz, że pracowałem nad myśliwcem rakieto-
wym Messerschmitta?

– Słyszałem to i owo.

– Słyszałeś, że przekroczyłem prędkość tysiąca ki-
lometrów? – pyta Watz, a w jego niebieskim spojrze-
niu pojawia się błysk.

– Słyszałem, że się zabiłeś.

– Prawie – przyznaje Watz skwapliwie. – To cud, że żyję.

– Co się stało?

– Skapotowałem, startując. Popelnilem błąd.

– Popelnileś błąd? – obrusza się naukowiec. – Ty? Pilot, któremu Niemcy zawdzięczają więcej niż komukolwiek innemu? Nie żartuj.

Watz wie, że to słowa prawdziwego przyjaciela. Na chwilę zawiesza wzrok na żyrandolu z jeleniego poroża i smutno kiwa głową.

– Niemcy czy Luftwaffe?

– Potęga Luftwaffe jest siłą Niemiec – cicho kwituje naukowiec.

Von Braun wyczuwa w głosie pilota ironię. W istocie jednak ma on wiele racji. W trzydziestym ósmym roku Watz wraz z szybownikami o wiele starszymi wiekiem i nalotem przeleciał nad Alpami, a tym samym przekroczył magiczną granicę czterech kilometrów przewyższenia. W następnym roku uczestniczył w wyprawie do Ameryki Południowej i zapisał na swoim koncie kolejne szybownicze rekordy, a po powrocie ku niezadowoleniu ojca został pilotem doświadczalnym Niemieckiego Instytutu Lotniczego. W następnych latach miał okazję pilotować każdy typ statku powietrznego, który potrafił się utrzymać w niemieckim powietrzu.

– Niestety nikt – podkreśla drugie słowo – nie jest nieomylny.

– Nikt poza Führerem.

Nabierając w usta alkoholu, spoglądają sobie w oczy. Żaden nie musi nic mówić. Szczególnie że za jedno zdanie za dużo można umrzeć. Nawet jeśli rozmawia się z przyjaciółmi.

– Właśnie – mruczy pilot. – Ale to już co innego, prawda?

– Jesteś już zdrow?

– Jeśli pytasz, czy mogę latać, to mogę. A masz dla mnie propozycję?

Wernher von Braun się uśmiecha. W owym czasie, kiedy widmo przegranej wojny zaczyna się z wolna wylaniać z „postępów” Wehrmachtu, który – jak głosi Goebbels – „przyjmuje z góry upatrzone pozycje, by przygotować się do miażdżącego kontrataku”, można znaleźć coraz mniej takich ludzi jak Watz. Ludzi, którzy wierzą w zwycięstwo Niemiec, choć nie interesuje ich partia.

– A masz ochotę jej wysłuchać?

– Zrobię wszystko – mówi pilot – jeśli to zbliży nas choćby o krok do zwycięstwa.

– Wobec tego zapraszam. Świeże powietrze dobrze nam zrobi.

Kilka minut później Watz pozna szczegóły najbardziej tajnego projektu Trzeciej Rzeszy, jaki kiedykolwiek powstał.

16.

Noc. Ciepła, sierpniowa. Wiesław czuje w powietrzu nutę zbliżających się chłodów. Siedzi na trawie, na wzgórzu za domem i wdycha zapach gasnącego lata. Lekki wiatr przyjemnie owiewa mu twarz. Delikatnie kołysze rozczochrane włosy, niesie ze sobą odgłosy z daleka. Coś metalowego upada z brzękiem. Gdzieś szczeka pies, pewnie na przechodzącego człowieka, kota albo innego kundla. Mężczyzna sprawia wrażenie, jakby słyszał też czyjś głos.

– Wiesiek! Chodźże do domu! – nawołuje zdenerwowana żona. – Słyszysz?

– Sssły... Słyszę! – odpowiada mężczyzna, pociągając z butelki. – Zzza... Zaraz!

Kłamie: nie słucha od dawna. Od kiedy los zabrał mu brata i obu synów. Z każdym dniem Wiesław wyraźniej czuje to coś. Co wieczór, co noc, kiedy nie może spać. Kolejny zachód słońca przynosi to samo, tyle że silniejsze. Obrazy, jak zdjęcia wywoływane z bratem w zaciemnionej łazience, stają się coraz bardziej wyraźne.

– Wiesław! Do jasnej cholery!

– Jjj, już!

– Ogluchłeś? Ileż można cię wołać?

– Nooo idę jjjuż! Iiide!

Wstaje, rusza. Spogląda na dom, na tartak i znów leją mu się łzy jak groszek. Nagle staje przed drzwiami – przed tymi drzwiami. W świetle księżyca lśni do po-

łowy opróżniona półlitrowka bimbru. Męczyzna wchodzi.

I wraca tamten dzień. Wiesiek ma ledwie osiem lat. Zaraz będą pracować w tartaku. Mietek niedawno przyszedł na świat. Jest sobota, wiosna, roztopy, ale ciepło, słonecznie.

– Znow bierzesz ten łach? – z wyrzutem mówi matka do ojca. – Przecież masz tyle swetrów. Nie możesz założyć którego z nich, tylko ten porozciągany?

– A co to ma do rzeczy?

– Robotnicy na ciebie patrzą. Ludzie to samo. A ty jak wyglądasz? Potem będą gadali na wsi, żeś brudas.

– Przynajmniej wiadomo, że pracuje.

– Mógłbyś go już wyrzucić.

Wiesio jest gotowy do wyjścia. Obserwuje tę scenę z końca długiego korytarza. Rodzice są w kuchni. Wszystko wyraźne, realne, jakby wcale nie wydarzyło się ćwierć wieku wcześniej. Ojciec podchodzi do mamy. Przytula ją, całuje w czoło. Zegar wybija dziewiątą rano.

– Ale już założyłem. Nie będę zdejmował. Sama to zrobisz – ośmiolatek przyglądający się tej scenie nie wszystko rozumie – jak wróć.

– Już jestem gotowy, tato.

– No widzisz – ojciec wskazuje chłopca. – Zresztą idziemy na chwilę. Przed obiadem skończymy – całuje ją raz jeszcze, po czym odwraca się do syna.

Na dworze błoto. Od godziny siedzą w warsztacie. Wiesio ma zakaz zbliżania się do maszyn, nawet jeśli są

wyłaczone, ale lubi bawić się blisko, kiedy ojciec pracuje i czasem prosi go, aby coś podał, poszedł gdzieś albo zawołał pracownika.

Mały Wiesio ma kilkadziesiąt klocków wyciętych z drewna i pomalowanych farbami lub pokrytych lakierem bez koloru. Potrafi odróżnić, który klocek zrobiono z buka, a który – ze świerku, orzecha, wiśni. Ojciec jest dumny.

Piła co chwilę wszystko zagłusza, gdy przecina deskę. Nagle słycać buczenie silnika. Mały odwraca głowę.

– Wyłącz! Prąd wyłącz!

Ośmiolatek przez chwilę nie rozumie. To, co się dzieje, dociera do niego po ułamku sekundy. Za długi rękaw swetra zaplątany w pas transmisyjny ściąga ojca w stronę piły. Wiesio biegnie do wyłącznika. Przekręca i czuje na twarzy coś ciepłego. Odwraca się: tarcza piły tkwi w ojcu. Patrzą na niego szeroko otwarte, gasnące oczy. Chłopiec wybiega, pędzi do domu. Buzię ma zachlapaną krwią. Ślizga się na błocie z kałuży. Przewraca się. Wstaje. Biegnie. Drzwi, schody, drzwi. Wpada do kuchni. Mama przy stole kroi czerwone buraczki.

– A coś ty taki brudny?

– Ta, ta, ta – jąka się. – Ta, ta, ta – nie może złapać powietrza.

„Od tamtego dnia nie przestałem się jąkać” – myśli teraz. Sięga po to, co przygotował w szufladzie. To ten

sam stół, przy którym najpierw pracował ojciec, a potem on sam. Wychodzi. Drewniane drzwi skrzypią.

Wiesiek rusza, lecz zamiast do domu idzie w góry. Ciągnie go szczyt, który zabrał mu brata i dzieci. Wyjmuje zębami korek i popija ciepły płyn, śmierdzący skrobią. Nie boi się. Jest pogodzony z tym, co robi. Wybaczył nawet matce, że trzy lata po ojcu ich osierociła, wieszając się na karniszu w sypialni. Ścisła w dłoni ten sam sznur, który przez tyle lat trzymał schowany w warsztacie – po tym, jak zdjęli go z sinej szyi matki.

17.

Słońce chowa się za górami. Jakub, zasłaniając okno, widzi wokół latarni ćmy i polujące na nie małe nietoperze. Siada do pracy. Pokój wypełnia szum komputera. Mężczyzna długo przeszukuje internet. Po północy słyszy ciche pukanie do drzwi, lecz kiedy je otwiera, korytarz jest pusty. Kilka minut później zasypia, zmęczony. Następnego dnia nadal nie składa wizyty w Kamienicy. Zanim zobaczy krzyż płaczący krwią, postanawia się jeszcze rozejrzeć. Zaczepia kilku ludzi pod sklepem albo gdzieś w parku i wypytuje. Wybiera starszych.

– Jestem... – przedstawia się i zwięźle wyjaśnia, czego szuka i dlaczego. – Chciałem zapytać o pewną historię. Podobno po wojnie zginęło tam czterech harcerzy?

– Ja tam nic nie wiem – stwierdza pierwszy staruszek.

– Nie slyszalem – mówi następny.

– To bzdury! – wyjaśnia jakaś kobieta. – Nigdy nic takiego się tu nie wydarzyło.

Jakub zaczyna rozumieć, że ludzie nie chcą z nim mówić.

– No a płaczący krzyż w Kamienicy? Co pan o tym sądzi?

– Panie kierowniku, co ja mam o tym sądzić? – odpowiada pijaczek. – Cud i tyle. Pojedzie kierownik i sam zobaczy.

Po południu mężczyzna odwiedza miejską bibliotekę. Ma nadzieję, że choć tam trafi na jakieś informacje.

– Może pan sprawdzić wszystko, co mamy na ten temat – zaprasza utykająca bibliotekarka – ale wydaje mi się, że niczego pan nie odnajdzie.

– Dlaczego?

– Nie jestem pewna, czy to prawdziwa historia.

– Ale slyszala ją pani?

– Oczywiście. Tutaj każdy ją zna. Ale ja w nią nie wierzę. To tylko legenda.

Jakub pyta o miejscowe wydawnictwa. Kobieta jest uprzejma, uczynna i miła. Mówi, że „Głos Paczkowa” wychodzi od osiemdziesiątego piątego roku. Modrak mówił, że chłopcy mieli zginąć w sześćdziesiątym szóstym, więc ten trop trzeba odrzucić.

– „Nowiny Nyskie” wydawano wcześniej – podpowiada bibliotekarka. – Zdaje się, że od czterdziestego siódmego. Tyle że to gazeta powiatowa, nie gminna.

– Może coś będzie?

– Niech pan szuka. Mamy wydania od siedemdziesiątego szóstego. I wcześniejsze, nieregularne, też się znajdują.

Następne godziny, aż do wieczora, Jakub spędza, przeszukując zbiory. Szpera też w przewodnikach turystycznych. Przegląda książki o Paczkowie i okolicach. Bez skutku.

18.

Lockheed P-38 Lightning F-5B-1, wyposażony w sześć kamer, to maszyna rozpoznawcza. Ten dwusilnikowy samolot dalekiego zasięgu, pilotowany przez amerykańskiego kapitana o francusko brzmiącym nazwisku Baptiste, przed kilkoma minutami przeleciał na południe od Flensburga – ignorowany przez obronę przeciwlotniczą – na pułapie ponad dwunastu kilometrów. Październikowy dzień czterdziestego czwartego roku jest wyjątkowo słoneczny. Pilot ocenia widzialność na nie mniej niż sto pięćdziesiąt kilometrów. Gdy samolot mija wyspę Fehmarn, po prawej pilot nagle widzi nad Rugią niezwykle zjawisko.

– Pojawił się przede mną oślepiający wybuch – zezna po wylądowaniu.

– Proszę opisać go dokładniej – poprosi przesłuchujący oficer.

Baptiste opowie raz jeszcze o oślepiającym błysku. I o rosnącym w oczach słupie w kształcie grzyba, wznoszącym się kilka kilometrów nad powierzchnię ziemi, złożonym jakby z chmur kłębiastych wypełnionych ogniem.

Przesłuchujący go oficer pokiwa głową, a następnie każe napisać raport. Chwilę później wykona telefon, po którym w bazie 7. Grupy Rozpoznawczo-Fotograficznej w Mount Farm w Oxfordshire zjawi się dwóch oficerów MI5 w towarzystwie Amerykanina z Biura Służb Strategicznych. Przeczytają raport i zadadzą kilka pytań.

– Gdzie dokładnie pan to zaobserwował?

– Wydawało mi się, że tuż przed dziobem maszyny.

– Ale to przecież – odpowie Brytyjczyk z MI5 – niemożliwe!

– Wobec tego obejrzyjcie, co nagrały kamery.

– Już to zrobiliśmy – wtrąci się drugi z Anglików. – Niestety nie nagrała się ani minuta z pana lotu, panie kapitanie

– Aha – wzruszy ramionami Baptiste – rozumiem. W takim razie nie mam nic do dodania. Jeśli to wszystko, dziękuję za rozmowę. Jestem zmęczony i nie czuję się najlepiej.

Tyle że agenci Służby Bezpieczeństwa Jej Królewskiej Mości i Amerykańskiego Biura Służb Strategicznych będą kłamać, w istocie bowiem kamery zareje-

strowały każdą minutę tego lotu. W szczególności tę, gdy nastąpiła niezidentyfikowana eksplozja. Nagranie oczywiście zabezpieczono, raport z lotu także. Baptiste nigdy się nie dowie, że pilot brytyjskiego myśliwca Spitfire także potwierdził ten wybuch, a niespełna cztery miesiące później, w marcu czterdziestego piątego roku pewien radziecki szpieg w swoim raporcie opisał podobny. Tak oto kilka prostych zdań trzech nieznanących się ludzi przekaże ludzkości przerażającą wiadomość.

19.

Stara się nie przekraczać przepisowej prędkości. Niebieski terenowy opel sunie przed siebie zgrabnie, nawijając kilometry na grube opony. Kręta droga przez wieś wyraźnie się wznosi. Co kilkadziesiąt metrów zza budynków lub przydrożnych drzew wylania się panorama gór – tak bliskich, że niemal na wyciągnięcie rąk. Szczyty są pogrążone w chmurach koloru ołowiu. „Na szczęście nie pada” – myśli Jakub, ale za chwilę pojawia się mżawka. Kierowca próbuje znaleźć w radiu jakąś polską stację.

– To tutaj normalne – mówi Paula. – Musisz się przyzwyczaić.

– Chyba masz rację – mruczy on, wciąż słysząc tylko Czechów.

– Nie ma w tym nic złego – dodaje dziewczyna, odwracając głowę w jego stronę. – Tak nauczyłam się czeskiego.

– Przez radio?

– Właściwie przez telewizję. Kiedy byłam małą, wieczorynka zaczynała się o dziewiętnastej. Piętnaście minut wcześniej na czeskim kanale startował *Večerníček*. Potem, kiedy dorosłam, *Krtek* czy *Křemílek a Vochoomůrka* już mnie nie interesowały, ale filmy owszem. Wzięłam słownik, nauczyłam się kilku, potem kilkunaśtu słów, aż wreszcie już mogłam oglądać filmy.

– Co powiedziałaś? – śmieje się Jakub. – Krzemilek?

– *Křemílek a Vochoomůrka* – odpowiada Paula tak naturalnie jak Czeszka. – Nie oglądałaś?

– Chyba nie.

„Niezwykła dziewczyna – myśli mężczyzna. – Nie dość, że zna niemiecki, to jeszcze sama nauczyła się kolejnego języka, aby rozumieć telewizję. Niebywale”. Patrzy na nią i znów to czuje. Tak samo jak wtedy, na wieży, ale silniej. Zatrzymuje spojrzenie na dolnej, szerszej, teraz wilgotniej wardze Pauliny. Pragnie ją pocałować.

– Ej! – dziewczyna szturcha go w ramię. – Zwario-wałeś? Żwirka i Muchomorka zna przecież każdy!

Jakub się śmieje. Paula uświadomiła mu, że okolice takie jak te rządzą się własnymi prawami. „Granica? Cóż za bzdura! Kilka kroków i dalej już nie można, bo inny kraj – myśli kierowca. – Tę wieś przecież w ciągu kilkuset lat na zmianę dzielono granicą i scalano, zależnie od zawieruch historii”.

– Wiesz – zaczyna – jestem ciekaw, jak wygląda ten krzyż. – I co nam powie Leszczyński. Mam nadzieję, że zastaniemy go w domu.

Paula spogląda na niego jak na wariata.

– A gdzie niby miałby być siedemdziesięciolatek?

– Nie wiem, będą wiedział za czterdzieści lat – uśmiecha się. – Jak dożyję.

Pierwszy raz jadą gdzieś razem. Dokładnie tak, jak się umówili: Paula ma mu pokazać krzyż w Kamienicy. „A stary Leszczyński, no cóż, to się okaże” – myśli Jakub.

– Zatrzymaj przed kościołem.

Wysiadają z samochodu. W sklepie dopytują, gdzie mieszka stary. Ekspedientka natychmiast wskazuje dom naprzeciw kościoła, a przy okazji ciekawie im się przygląda.

– I proszę – żartuje dziewczyna, gdy nikt im nie otwiera. – Wykrakaleś.

– Może jest w kościele?

– Może.

– Więc chodźmy. Nawet jeśli go tam nie będzie, z przyjemnością sobie wszystko obejrzę.

– Interesujesz się kościołami?

– Kościołami? – dziwi go to pytanie. – A gdzież tam. Ale czasem można tu i ówdzie coś interesującego znaleźć albo się czegoś dowiedzieć.

Przez chwilę Jakub czuje się trochę nieswojo: nie mógł jej przecież powiedzieć prawdy, choć szczerze powiedziawszy, coraz gorzej mu z tym, co robi. Wo-

łałby jej powiedzieć, kim jest naprawdę i dlaczego się tutaj znalazł.

– Na przykład czego?

– To ty mi powiedz. Zgodziłaś się być moją przewodniczką – mruga do niej.

– A pokażesz mi Kraków?

W jej oczach jest coś, czego nie potrafi odczytać. Dziewczyna zaczyna mu się coraz bardziej podobać. To niebezpieczne. Spędzili ze sobą zaledwie kilka godzin, ale... No właśnie, sam nie wie. Jakub odwraca wzrok.

Kościół otacza niewysoki, mniej więcej dwuipół-metrowy kamienny mur z dwiema bramami. Wchodzą bliższą, tą z drewnianą wieżyczką.

– Piękna ta wieża.

– Podoba ci się?

– I to jak! – odpowiada, wpatrzony jak w obrazek.
– Zawsze mi się podobały drewniane budowle.

– Wieżyczka nie najgorsza, ale w kościele nie ma według mnie niczego interesującego.

Faktycznie, kanciasta budowla, opisana na planie krzyża, niezbyt się wyróżnia. Na szczęście wieża, dobudowana od wschodu i pokryta zielonkawą blachą, zaciera nieciekawe wrażenie. Widziana z zewnątrz, świątynia nie urzeka Jakuba.

– Wejdziemy do środka?

– Jeśli chcesz.

Wprawdzie jest wspaniała pogoda, ale chwila na modlitwę nie zaszkodzi. Chłodne wnętrze specyficznie

pachnie, świecami i kadzidłem. Mężczyzna natychmiast zmienia zdanie: uwielbia woń i atmosferę niektórych kościołów. Odświeżający, cytrusowy aromat oliwanum kojarzy mu się z oczyszczeniem, a cisza panująca w tym miejscu go uspokaja.

– Piękny – szepcze Jakub półgłosem. – To wszystko musi być o wiele starsze od samej budowli.

Dziewczyna, skończywszy krótką modlitwę, z uznaniem spogląda na swojego towarzysza. „Nie myli się, więc musi mieć wiedzę o historii sztuki lub doświadczenie w zwiedzaniu kościołów. Kim jest ten człowiek?” – myśli, spoglądając na Jakuba, chłonnego urok rzeźb, malowideł, organów.

– Wydaje mi się, że – mówi ten cichutko, wpatrzony w witraż ze świętym Jerzym zabijającym smoka – ma przynajmniej czterysta lat.

– Jesteś blisko.

– To znaczy?

– Pochodzi z szesnastego wieku.

– Dzwonnica również?

– Nie, dzwonnica jest starsza. Nie wiadomo jednak, jak bardzo. Wiadomo, że był tu kościół w trzynastym wieku. Dzwonnica musi być młodsza. Tamta pierwsza świątynia spaliła się albo została zrujnowana. Dzwonnicę zbudowano później.

Nagle zegar na dzwonnicy wybija godzinę. Spod sufitu zrywa się stado gołębi. Jakub wzdryga się, nieprzygotowany na taki odgłos. „Zastawiające – myśli – gołębie tutaj?”

– Dzwon pochodzi z tego pierwszego, starego kościoła. Ma co najmniej sześćset lat – informuje Paula.

– Hmm. Poważna sprawa. Sześćset lat. Kawał czasu.

Dziewczyna wygląda pięknie. Chłodne wnętrze, pełne rozproszonego światła, wydobywa z jej twarzy urok. „Co by się stało – przemyka mężczyźnie przez głowę – gdybym się w niej zakochał?”. Natrętna myśl zostaje natychmiast odpędzona.

– Dziwne, że przetrwał wojnę – mruży Jakub. – Niemcy często je przetapiali.

– Może schowali go na czas wojny?

– Może. Nic pani nie wie na ten temat? Nie przygotowała się pani do zajęć?

Paula jeszcze nie zawsze wie, kiedy on mówi serio, a kiedy żartuje. Ten oficjalny ton... „Tak właśnie musi się zwracać do studentów. Ciekawe, jakim jest wykładowcą” – zastanawia się.

– Coś tam wiem. Kiedyś pisałam referat o kościołach w okolicy.

– No proszę. Więc może jednak nie będzie pały? Słucham.

– Pamiętam, że to kościół parafialny pod wezwaniem świętego Jerzego.

– Warto dodać – mruga on porozumiewawczo – że to ten od smoka – ruchem brody wskazuje okno, które jeszcze przed chwilą z takim zainteresowaniem podziwiał.

Z góry, gdzieś spod wysokiego sklepienia opada niewielkie gołębie piórko.

– A tak, tak. Jerzy, rozumiem. Myślałam o smoku w Krakowie.

– Ciągnie wilka do lasu. Pamiętasz, kiedy go zbudowano?

– Chyba w tysiąc dziewięćset czternastym, ale pewna nie jestem.

– Hm. Niezbyt stary.

– Zdaje się, że tylko wewnątrz – kontynuuje dziewczyna – jest z siedemnastego wieku.

– Potwierdzam – słyszą za sobą czyjś głos.

Odwracają się, przestraszeni. Z cienia pod chórem bezgłośnie wylania się starszy mężczyzna w sutannie. Niewysoki, drobnej budowy ciała, ale o energicznych ruchach. Krótko przystrzyżone włosy w kolorze śniegu i zmarszczki wokół oczu świadczą o tym, że dawno przekroczył siedemdziesiątkę. Podchodzi, przyjaźnie się uśmiechając. Uważne błękitne spojrzenie ma w sobie ciepło, więc choć ich przestraszył, szybko zaczynają czuć do niego sympatię.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – Paulina natychmiast wita się z księdzem.

– Na wieki wieków. Państwo chyba przyjezdni prawda? – pyta pleban, zmrużywszy oczy, i zdejmuje fioletową stulę z ramion.

– Ja jestem z Paczkowa – odpowiada ona – ale... – zawiesza głos – doktor Wróblewski przyjechał z Krakowa.

Kapłan chowa różaniec i zakłada okulary. Skupia jasne oczy na Jakubie.

– Ach, Modrakówna! – poznaje dziewczynę. – Współczuję straty.

– Bóg zapłać.

– No cóż, stary Waławczyk przez lata żył obok nas, cichy, skryty, spokojny. A potem tak samo odszedł. Nie utrzymywałście kontaktu?

– Nie proszę księdza, ale – Paulinie załamuje się głos. – Ale...

– Wybacz, dziecko – pleban unosi dłoń. – Nie moja sprawa. Pan jest z Krakowa, powiadasz? Dobrze słyszałem – zwraca się do Jakuba. – Jest pan lekarzem?

– Nie. To tytuł akademicki.

– A, rozumiem. Szkoda. Myślałem, że mi pan pomoże. Miałem kiedyś kolegę z Krakowa, został lekarzem, a potem straciłem z nim kontakt. Tak czy inaczej, witam w mojej parafii – dodaje, rozkładając ręce niczym podczas eucharystii. – Co państwa tutaj sprowadza?

Ksiądz ma głęboki, mocny głos. Mówi wolno, wyraźnie, widać, że wiele lat pełnił posługę. W kościele nie ma nikogo innego, a przynajmniej tak się Jakubowi wydaje.

– Można powiedzieć, że zwiedzamy – odpowiada. – Ma tu ksiądz piękne wnętrze.

– Tak! Obrazy, rzeźby, ambona, organy, chrzcielnica, tabernakulum, ołtarz główny, boczny prawy i lewy – wylicza z dumą duchowny – zegar, żyrandol, ława

kotlarska... To wszystko ma przynajmniej czterysta lat.

– Imponujące – kwituje Jakub. – Kawał historii.

– Oprócz tego kamienny mur z szesnastego i osiemnastego wieku, z dwiema bramami. No i krzyż.

– Widzieliśmy – wtrąca dziewczyna – wszystko oprócz krzyża. Doktorowi przypadła do gustu szczególnie dzwonnica – dodaje, uśmiechając się do Jakuba.

– To pozostałość po starym kościele.

– Jak starym?

– Prawdopodobnie czternastowiecznym. Z tego, co wyczytałem w księgach parafialnych, zbudowano go w miejscu pierwszej tutejszej świątyni, powstałej gdzieś między rokiem tysiąc dwusetnym a tysiąc dwieście pięćdziesiątym.

– Co się z nim stało?

– Splonął.

– Hm. Szkoda.

– Tak. I szkoda, że nie znam niemieckiego, bo w pamiętnikach niemieckich księży też pewnie by się coś ciekawego znalazło.

– Z pewnością – przytakuje uprzejmie Jakub, choć chętnie już by się pożegnał.

– To właśnie z tamtych czasów pochodzi nasz dzwon – rozkręca się ksiądz. – Zresztą jest tu wiele innych ciekawostek.

– A krzyż?

– Hm... No cóż – odpowiada kapłan z rezerwą. – Cóż ja, skromny, prosty sługa boży, mogę na to po-

wiedzieć? Niech pan sam zobaczy – dodaje z gorzkim uśmiechem. – To nic dobrego. Do tego jeszcze ta straszna tragedia – mruczy, uważnie spoglądając na Paulinę.

– Słyszałem – mówi Jakub, też na nią patrząc. – Zaraz się tam udamy. Bóg zapłać za tych kilka słów o kościele.

Ksiądz zegna ich ukłonem. Zdjąwszy okulary, chwilę patrzy na parę opuszczającą chłodne mury, po czym sunie w kierunku zakrystii. Oni tymczasem postanawiają, że sprawdzą, czy Leszczyński przypadkiem już nie wrócił do domu. Lecz i tym razem nikt nie otwiera. Ruszają w stronę drugiej bramy, gdzie ma się znajdować tajemniczy krzyż. Dziewczyna uśmiecha się, gdy docierają na miejsce. Krzyż ma niecały metr wysokości i pochyła się w tył. Jest płaski, ma nie więcej niż trzydzieści centymetrów grubości i wydaje się wyciosany z jasnej skały.

– To krzyż pokutny – stwierdza Jakub. – Relikt średniowiecznego prawa.

Nie byłoby w nim nic dziwnego, gdyby nie to, że wokół pałą się setki zniczy i świeczek. Zebrało się też kilku ludzi, głównie starszerek, modlących się na klęczkach. Wokół panuje dziwna aura.

– A skąd się tutaj wziął?

– Dawniej, gdy ktoś dopuścił się zbrodni, zbierała się rada, coś na kształt dzisiejszego sądu. Orzekła wzniesienie krzyża, właśnie wyciosanego z kamienia, w miejscu zabójstwa. Takie krzyże zazwyczaj pochodzą z

dwunastego, trzynastego, ewentualnie czternastego wieku. Ale ten mi wygląda na niemal współczesny. Dziwne.

– Nie można cię niczym zaskoczyć?

– Kolega z akademika pisał o tym pracę – kłamie Jakub. – Czytałem ją, bo prosił mnie o poprawienie, korektę. Zapamiętałem co nieco.

Prawda wygląda tak: uczył się o tym, nie tylko o tym zresztą. Przygotowano go do tego, czym się zajmuje. Doskonale zna przypadki objawień, płaczące figury, uzdrowienia, kamienne krzyże, historię sztuki sakralnej, świętych i stygmatyków, nietypowe kapliczki.

– To opowiadaj.

– Morderca zobowiązany był także do pokrycia kosztów pogrzebu i arcyciekawego przewodu sądowego.

– Dlaczego arcyciekawego?

– Bo zazwyczaj taki sąd polegał na trzydniowej uczcie przy pieczystym i winie.

– Aha.

– Morderca musiał teżłożyć na utrzymanie rodziny zabitego.

– To już coś.

– Czasem musiał jeszcze odbyć pielgrzymkę do świętego miejsca. Zazwyczaj boso.

– No proszę!

– I kupić świece do kościoła.

Jakub wyjaśnia, czym są krzyże pokutne. Robi to w racjonalny sposób, wszystko trzyma się kupy. Pewnie

gdyby Paula zażądała dowodów w postaci źródeł, wyrecytowałby jej tytuł, autora, rok wydania, a może nawet i stronę. Jest świetny w naukowym wyjaśnianiu tajemnic ubiegłych wieków.

– A przy tym – mówi po chwili – spójrz, jaki genialny plan resocjalizacyjny, prawda?

– Prawda. I nieobciążający budżetu państwa.

– A do tego – ciągnie mężczyzna – z morałem. Bo postawienie krzyża było ostatnim etapem pokuty. W tym momencie następowało pojednanie mordercy z ofiarą, a krzyż stanowił upamiętnienie tragedii. Miał przykuwać uwagę i przestrzegać potomnych.

– I słusznie.

– Tyle że tutaj nie widzę niczego nadzwyczajnego. Poza tym, że nie wygląda to zbyt staro. Mówiłaś, że z powodu tego krzyża macie więcej gości w hotelu?

– Tak, to prawda. Odkąd krzyż zaczął płakać krwią, tak jest.

Jakub patrzy jej w oczy. Tym razem to on nie wie, czy dziewczyna żartuje. Paula uśmiecha się zalotnie, a głową daje do zrozumienia, by dokładniej przyjrzał się krzyżowi.

Słońce świeci nisko, cienie z wolna się wydłużają. Stąpając ostrożnie pomiędzy zniczami, odsuwając jeden po drugim, aby się nie poparzyć, Jakub rusza ku krzyżowi. Zauważa coś na chropowatej powierzchni. Odwraca się w kierunku dziewczyny. Stoi tam – w długiej czerwonej sukience, piękna. Unosi rękę, zachęca, by zbliżył się jeszcze bardziej, i nie wiadomo dla-

czego przypomina mu Marię Magdalenę z obrazu Iwanowa. Nad ich głowami znów przelatuje stado białych gołębi. Chwilę później zegar na wieży wybija kolejną godzinę. Mężczyzna czuje zapach kadzidła, dochodzący z kościoła. Kilka kroków dalej, oślepiiony płomieniami, dostrzega to.

– O Boże! Czy to naprawdę łyzy?

– Teraz już wierzysz? – słyszy za sobą gardłowy głos.

Gwałtownie odwraca głowę, lecz za nim nie ma nikogo. Paulina stoi jak poprzednio. Tyle że obok jest teraz drobna staruszka w chustce, z czarnym kundelkiem na smyczy. Pies szczyrzy zęby.

Aleksander Sowa (ur. w 1979 r. w Paczkowie) pisarz niezależny, wydawca i self-publisher. Laureat nagród: głównej plebiscytu internautów *Najlepsza książka na lato 2010 portalu Granice.pl* za powieść pt. „**Jeszcze jeden dzień w raju**” oraz drugiej plebiscytu *Najlepsza książka na jesień 2010 portalu Granice.pl* za powieść pt. „**Era Wodnika**”. Zdobywca nagrody głównej w *Ogólnopolskim Konkursie Literackim Mój Belfer 2012* za opowiadanie pt. „Tak jest kapitanie!” opublikowane w zbiorze „**Do widzenia**”. Jako jeden z pierwszych autorów w Polsce wykorzystał do samopublikowania serwisy Amazon Kindle Publishing oraz [Smashwords](#). Jego debiutancka powieść „**Umrzeć w deszczu**” jest pierwszą polską powieścią wydaną na papierze a następnie sprzedawaną w Amazon jako e-book.

Strona autora: www.wydawca.net

Darmowy fragment e-booka.

Jeszcze jeden dzień w raju

Aleksander Sowa



Nie czytaj tej książki, jeśli nie chcesz aby Twoja ulubiona *Olga Tokarczuk* była jeszcze czerwiejsza, nie czytaj jej jeśli na zawsze nie chcesz mnie zienawidzić.



ERA WODNIKA

Aleksander Sowa

ALEKSANDER
SOWA



Umrzec w deszczu

Tylko w marzeniach możemy być naprawdę wolni

Aleksander Sowa

DO WIDZENIA

Zmiana nagrodzone w ogólnopolskim konkursie literackim „MOI BECFER” opowiadania pt. „Tak jest, kapitanie!”

www.facebook.com/aleksander.sowa